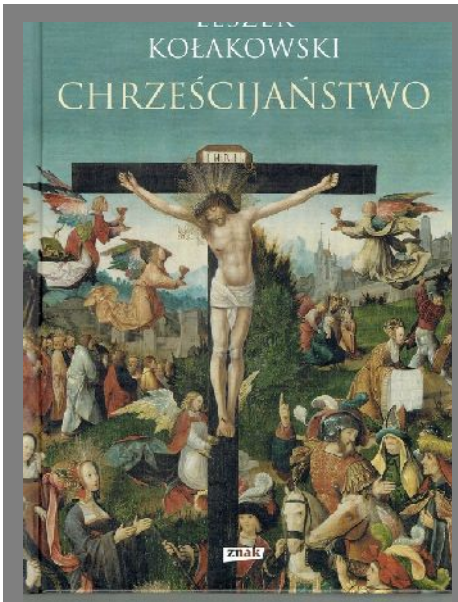

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIV Nr 12(280) Zelów, grudzień 2019

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Joanny Babiarz, Barbary Gajewskiej, Benadykta Kozieła, Marii Łotockiej, Elizy Segiet, Małgorzaty Skwarek- Gałęzkiej, Jana Tulika, Marii Wardzichowskiej-Woźniak, Dominika Żyburtowicza

Andrzej Dębkowski – *Po co komu kultura?*

Leszek Żuliński – *Poezja nowej dykcji*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Miłość: pamięć i czas* oraz *Impresje bieszczadzkie*

Kazimierz Ivosse – *Licha ściana marzeń*

Stefan Jurkowski – *„Ma granice Nieskończony”*

Joanna Friedrich – *Pisane na kolanie. Opowieści z kwiaciarni*

Henryk Gała – *Niewiersze*

Andrzej Walter – *Na peryferiach życia obserwując sępy oraz Rytuał, Rząd, nierząd i obrzędy (wstydliwe)*

Stanisław Stanik – *Grochowina rediviva*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (3)

Jerzy Stasiewicz – *Rozdrożami (do) modlitwy malowanej trzciną*

Andrzej Gnarowski – *W czasie uciekających światów*

Krystyna Konecka – *Niewinność Ireny Nyczaj*

František Všetička – *Krawędź rozwoju*

Witryna

Opinie, Noty, Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice, Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia

Niewinność...

Nie o sam sen, w którym mają prawo dziać się sytuacje morfeuszowskie, absolutnie niesprawdzalne, mi chodzi. Ale właśnie o tę puentę, która jest o wiele bardziej dramatyczna od wszystkich widzeń nocnych. I nawet jeżeli podmiot liryczny (czy na pewno alter ego autorki?) zwierza się w tym wierszu wyłącznie z sytuacji osobistej, to jest ona nieobliczalnie zwielokrotniona, i utożsami się z nią mnóstwo czytelniczek, podobnie jak ja. Konstrukcyjnie jest w tej frazie słów niewiele więcej, niż zmieściłoby się w podwójnym haiku (nie bez powodu to podkreślam, bo i taką formę poetycką znajdziemy w „Winie”), ale jej niepokojąca presja chodziła za mną przez kilka bardzo zajętych tygodni, aż kazała wrócić do książki... (...) Któż mógłby trafniej zachęcić czytelników wizualnie do przeczytania „Winy”, niż sama autorka – tym niepokojącym znakiem kobiecych ust na okładce, które wiąże nakazem milczenia para kobiecych rąk w niemodnych atłasowych rękawiczkach. (...) – ***pisze Krystyna Konecka na stronie 20.***

Po co komu kultura?

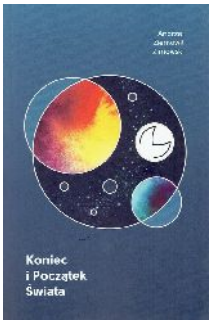

Czym jest kultura i historia dla każdego narodu wiedzą to te kraje, które traciły swoją narodową tożsamość. Polska w ciągu swojej ponad tysiącletniej historii wielokrotnie odczuwała te bolesne upokorzenia. Czy te historyczne doświadczenia polskiego narodu wpłynęły na jego scementowanie i umocnienie, które pozwolą sprostać wszystkim wyzwaniom cywilizacyjnym nowego tysiąclecia i to w taki sposób, byśmy mogli uczciwie powiedzieć, że wreszcie zajmujemy w świecie stosowne dla nas miejsce? Osobiście wątpię. Ostatnie przykłady świadczą o czymś zupełnie innym, wciąż nie możemy sobie poradzić z naszą historią i kulturą, a czasami przeszkadzają nam one w sposób niebywały... Kończy się druga dekada XXI wieku. Polsce potrzebna jest wizja państwa, które sprosta wyzwaniom naszych czasów. Można by powiedzieć, że potrzebny jest program wielkiego celu. Ale czegoś takiego nigdy nie było i ciągle nie ma. Wszystkie dotychczasowe rządy wielokrotnie powtarzały, że nie uchylają się od wzięcia odpowiedzialności za kraj. Inicjowano wiele reform społecznych, modernizowano wiele branż polskiej gospodarki. (...) – ***pisze Andrzej Dębkowski na stronie 15.***

Na peryferiach życia obserwując sępy

(...) Było tu, w Polsce, bowiem kiedyś takie życie – życie literackie, które kształtowało choćby czytelnictwo, a szerzej kulturę narodową. Dziś to życie przeniosło się „do katakumb”, do nisz, do zamkniętych gett bez publiczności, słowem, na peryferie właśnie. Dziś życie to nie stymuluje niczego i niczego w tym świecie nie zmienia, być może oprócz nas samych – uczestników tych niejednokrotnie pięknych przedsięwzięć i z pewnością wartościowych w niesieniu kaganka kultury wyższej tu i ówdzie. Kaganek ten zdaje się być nikomu niepotrzebnym hałasem kilku dziwolągów nazywanych poetami, względnie i rzadziej, a szerzej literatami, których świadomość społeczna wyparła poza przestrzeń jakkolwiek użyteczną. No cóż. Taką mamy dziś kulturę kraju. Polega ona na spoglądaniu na świat przez magię ekranów oraz na plemiennej wojence post–poglądowej polegającej na bezmyślnym zwalczaniu przeciwnika dla sztuki samego zwalczania. Głębszą myśl natomiast wyparł rechot, kabaret, spa, wellness oraz wszelkiej maści gabinety przywracające sprawność ciała w miejsce sprawności ducha. Ducha już dziś nie ma. (...) – ***pisze Andrzej Walter na stronach 3-4.***

Zmarli

18 września:

Leszek Elektorowicz – polski poeta, prozaik, eseista i tłumacz.

14 października:

Bohdan Butenko – polski grafik, autor komiksów.

18 listopada:

Zbigniew Jujka – polski dziennikarz, rysownik.

Konkursy

28. Ogólnopolski Turniej Poetycki Autoportret Jesienny Krotoszyn 2019

1. W konkursie mogą wziąć udział poeci niezrzeszeni oraz poeci będący członkami związków twórczych. Wiek uczestników od 21 lat.

2. Na konkurs należy nadsyłać utwory, które dotąd nie były publikowane (również w formie elektronicznej) ani nagradzane na innych konkursach poetyckich, pod własnym imieniem i nazwiskiem.

3. Organizator nie ogranicza tematyki prac konkursowych.

4. Na konkurs należy nadsyłać 1 zestaw 3 wierszy powielony w czterech egzemplarzach, (każdy zestaw należy zszyć zszywaczem, bez dodatkowych opraw), do **OSTATNIEGO DNIA JESIENI – 21 grudnia 2019 r.** na adres organizatora: Krotoszyński Ośrodek Kultury, ul. 56 Pułku Piechoty Wlkp. 18, 63–700 Krotoszyn.

5. Każdy utwór powinien być opatrzony wybranym przez siebie godłem. Godło powinno również widnieć na dołączonej kopercie z informacjami: imię, nazwisko, adres, e-mail, telefon.

6. Oceny nadesłanych prac dokona jury. Organizator nie zwraca prac nadesłanych na konkurs.

7. Ogłoszenie wyników odbędzie się 6 stycznia 2020 roku na stronie www.kok.krotoszyn.pl Spotkanie poetyckie, podczas którego laureatom wręczone zostaną nagrody przewidziane jest w dniu **18 stycznia (sobota) 2020** r. o godz. 18:00 w siedzibie organizatora. Laureaci zobowiązani są do osobistego odbioru nagrody. Nieodebrane podczas biesiady nagrody zasilą fundusz kulturalny Krotoszyńskiego Ośrodka Kultury. O szczegółach laureaci zostaną powiadomieni e-mailem.

8. Nagrody i wyróżnienia finansowe zostaną ufundowane przez organizatora.

9. Organizator zastrzega sobie prawo bezpłatnej publikacji nagrodzonych i wyróżnionych wierszy w pokonkursowym almanachu poetyckim, na stronie internetowej Krotoszyńskiego Ośrodka Kultury oraz w prasie.

10. W sprawach spornych wynikających z interpretacji regulaminu ostateczną decyzję podejmie organizator.

11. Nadesłanie wierszy na Turniej Poetycki jest równoznaczne z akceptacją regulaminu oraz wyrażeniem zgody na przetwarzanie swoich danych zgodnie z Rozporządzeniem Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2016/679 z dnia 27 kwietnia 2016 r. w sprawie ochrony osób fizycznych w związku z przetwarzaniem danych osobowych i w sprawie swobodnego przepływu takich danych oraz uchylenia dyrektywy 95/46/WE (ogólne rozporządzenie o ochronie danych), (Dz. Urz. UE L 2016, Nr 119) oraz bezpłatne wykorzystanie swojego wizerunku (m. in. w prasie, na stronach internetowych, tablicach informacyjnych) zgodnie z Ustawą z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych (Dz. U. z 2018r., poz. 1191 ze zm.). Pełna informacja na tej stronie: https://kok.krotoszyn.pl /polityka_prywatnosci.html

12. Szczegółowych informacji o konkursie udziela Beata Ulbrych tel. 509 282 972

XXVII Konkurs Poetycki im. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej

1. Organizatorami Konkursu są: – Urząd Miasta Katowice – Miejski Dom Kultury „Szopienice-Giszowiec".

2. Celem Konkursu jest opisanie językiem współczesnej poezji tego, co stanowiło najgłębszy sens i istotę twórczości Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej – MIŁOŚCI.

3. W Konkursie mogą wziąć udział autorzy zrzeszeni i niezrzeszeni, bez ograniczenia wieku.

4. Na Konkurs należy nadesłać nie więcej niż 3 utwory (nigdzie dotąd niepublikowane). Maszynopisy utworów muszą być opatrzone tylko i wyłącznie godłem (wyrazem) i powielone w 4 egzemplarzach. W osobnej kopercie, opatrzonej tym samym godłem co maszynopis, należy umieścić następujące dane: imię, nazwisko, adres, numer telefonu, oraz krótką notkę biograficzną, Nie przestrzeganie zasad regulaminu i przesłanie więcej niż jednego zestawu utworów przez jednego autora podpisującego się różnymi godłami, dyskwalifikuje z udziału w Konkursie. Prace nadesłane po terminie zostaną odrzucone.

5. Oceny prac dokona powołane przez organizatorów profesjonalne JURY, które przyzna nagrody pieniężne i wyróżnienia.

6. Prace należy nadsyłać do dnia 3 stycznia 2020 roku na adres: Miejski Dom Kultury „Szopienice – Giszowiec" Filia nr 1 40-336 Katowice, ul. Obrońców Westerplatte 10, z dopiskiem: „Konkurs Poetycki" (Prace nadesłane po terminie nie będą podlegały ocenie jury konkursu, obowiązuje data nadesłania wierszy, nie obowiązuje data stempla pocztowego).

7. Organizatorzy nie zwracają prac nadesłanych na Konkurs i zastrzegają sobie prawo nieodpłatnego publikowania nagrodzonych, wyróżnionych i wybranych przez Jury utworów w prasie oraz wydawnictwach okolicznościowych rozpowszechnianych przez organizatora.

8. Wyniki Konkursu zostaną podane do publicznej wiadomości.

9. Autorzy przystępujący do konkursu wyrażają zgodę na publikowanie i przetwarzanie swoich danych osobowych w publikacjach i ogłoszeniach wyników. Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie podpisanego oświadczenia w celu realizacji obowiązków wynikających z ROZPORZĄDZENIA PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO I RADY (UE) 2016/679 z dnia 27 kwietnia 2016 r. w sprawie ochrony osób fizycznych w związku z przetwarzaniem danych osobowych i w sprawie swobodnego przepływu takich danych oraz uchylenia dyrektywy 95/46/WE (ogólne rozporządzenie o ochronie danych) zwanym, dalej „RODO" (załącznik do pobrania na stronie www.mdk.katowice.pl).

10. Uroczystość ogłoszenia wyników i wręczenia nagród odbędzie się w Filii nr 1 Miejskiego Domu Kultury „Szopienice-Giszowiec" przy ul. Obrońców Westerplatte 10 w Katowicach 21 lutego 2020 roku o godz. 17.00.

Sprostowanie

W numerze 11/2019 „Gazety Kulturalnej" wkradł się chochlik w nazwisku **Aresa Chadzinikolau**. Za pomyłkę przepraszamy.

Niewiersze Henryka Gały

* * *

Przed rokiem, na poprzednią wigilię naszego chrześcijańskiego bożegonarodzeniowego święta, próbowałem pozbawić swoje człowieczeństwo nienawiści. Obciążyłem przedrostek i zamiast z nią, żyłem z nawiścią.

Nawiść, doczłowieczość, kuludzkość. Jak spełnia się w człowieku?

Nie zauważyłem. I nikt po mnie nie zauważył. Nie było we mnie nienawiści, skąd więc nawiść.

Nie wiem, czy poza mną ktoś spróbował, ale nawet, gdyby, to związana z tym refleksja nie wystarczy, aby pozbyć się nienawiści, która, wiem o tym, czeka, żebym coś lub kogoś znienawidził i wyłączając myślenie, zniszczył.

Mówiąc po ludzku, zabił.

Jeśli nie fizycznie, jak opisał Darwin, to tak, jak opisali mędrcy, powtarzając słowa swego Boga, każdy i wszyscy, w myślach, mowie i uczynkach.

Trzynaście tez judaizmu, dekalog chrześcijaństwa i pięć filarów islamu.
Nigdzie słowa nienawiść.

Zawarta w każdej z ksiąg potężna energia miłości do Boga uruchamia wektory, które nie mogą się ze sobą zgodzić. Głosiciele tej niezgody od pierwszego słowa gromadzili energię skutecznie wspierając nią to, co w każdej z tych religii nazywane jest złem. Przynajmniej w rozumieniu wierzących, nie teologów i generałów.

Gdzie szukać energii dla przełożenia tego rozumienia na życie? Czy słuchać Pism i czekać na przesilenie, na nowego mesjasza, czy nowego człowieka, będącego nadzieją humanizmu.

A może to już się dzieje i on się narodził.

Nie tylko w marzeniach ludzi, ale w tym czego dokonują.

Imię jego Sztuczna Inteligencja.

W skrócie z polskiego SI, z angielskiego AI. Zapamiętajmy. Nasze wnuki już to wiedzą.

Wszystkiego dobrego na Święta i cały Nowy Rok.

Andrzej Walter

Na peryferiach życia obserwując sępy

Właśnie wróciłem z trzech jakże ważnych polskich festiwali literackich w naszym kraju. Były to: te dwa, onegdaj słynne, najstarsze imprezy: 48 Warszawska Jesień Poezji i 42. Międzynarodowy Listopad Poetycki w Poznaniu (choć hasło „w Poznaniu" potraktowałbym umownie) oraz ten trochę młodszy, lecz z ugruntowaną już marką jakości literackiej – szesnasty Międzynarodowy Festiwal Poezji w Polanicy Zdroju „Poeci bez granic" imienia Andrzeja Bartyńskiego organizowany od zarania przez Dolnośląski Oddział Związku Literatów Polskich.

Myśl generalna, po tych jakże energetycznych wojażach jest taka oto: jak to dobrze, że mogły się one jeszcze odbyć, a myśl druga, pochodna, ta już zdecydowanie mniej radosna, a zaczerpnę ją ze wstępu, który był łaskaw skreślić w kilku jakże ważnych słowach świetny poeta i jednocześnie Prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich Marek Wawrzkiewicz brzmi następująco:

...wiele rzemiosł, podobnie jak wiele gatunków zwierząt i roślin, znamy już tylko z atlasów i wspomnień. Nieliczni mistrzowie swoich fachów wegetują gdzieś na przedmieściach swoich miast i miasteczek. ***Podobnie jest z poetami: egzystują na peryferiach społecznej świadomości.***

Oto powracam więc z tych peryferii, powracam z krain dalekich, z przestrzeni dzikich, upadłych, zapomnianych, powracam z dalekiego kraju życia literackiego jeśli kogoś spoza tego środowiska w ogóle takie życie jeszcze dziś interesuje.

Było tu, w Polsce, bowiem kiedyś takie życie – życie literackie, które kształtowało choćby czytelnictwo, a szerzej kulturę narodową. Dziś to życie przeniosło się „do katakumb", do nisz, do zamkniętych gett bez publiczności, słowem, na peryferie właśnie. Dziś życie to nie stymuluje niczego i niczego w tym świecie nie zmienia, być może oprócz nas samych – uczestników tych niejednokrotnie pięknych przedsięwzięć i z pewnością wartościowych w niesieniu kaganka kultury wyższej tu i ówdzie. Kaganek ten zdaje się być nikomu niepotrzebnym hałasem kilku dziwolągów nazywanych poetami, względnie i rzadziej, a szerzej literatami, których świadomość społeczna wyparła poza przestrzeń jakkolwiek użyteczną. No cóż. Taką mamy dziś kulturę kraju. Polega ona na spoglądaniu na świat przez magię ekranów oraz na plemiennej wojence post–poglądowej polegającej na bezmyślnym zwalczaniu przeciwnika dla sztuki samego zwalczania. Głębszą myśl natomiast wyparł rechot, kabaret, spa, wellness oraz wszelkiej maści gabinety przywracające sprawność ciała w miejsce sprawności ducha. Ducha już dziś nie ma. Ziemia w zasadzie posprzedawana. Nie ma zatem i czego odnawiać, bo ani ziemi, ani ducha. A oblicze? Oblicze piękne, nasmarowane kremami przeciwzmarszczkowymi i dobrze się prezentujące w lustrze ... samotności.

Powracając do pojęcia życia literackiego w samej jego definicji, warto zauważyć, że bez niego żadna sztuka słowa nie mogłaby zaistnieć, żadna kultura wyższa, żadna Nagroda Nobla i żaden powód do dumy, że my Polacy mamy świetnych pisarzy, znakomitych poetów, którzy rozpoznają i leczą bolączki tego świata, krzepią upadłych na duchu i wyznaczają wzorce na przyszłość. Przyszłość przestała być tematem zgłębień, a duch jak już wspomniałem dawno był upadł. Co zatem pozostało?

Rys. Sławomir Łuczyński

Pozostało wielokrotnie obserwowalne w wielu przypadkach jednostek ludzkich przeświadczenie, że istnieje jednak ścisły związek owego życia literackiego z rozwojem, postępem i poziomem sztuki współczesnej. Słowem zwyczajnym rzecz ujmując – nadal mamy na tym padole kilku ludzi, którym zostało jeszcze wiele w głowie i doskonale rozumieją wagę i powagę sytuacji. Zadziwiającym jest natomiast fakt, że takich ludzi jest coraz mniej w tych ponoć wiodących ośrodkach wielkomiejskich, zdawałoby się siedlisku elit oraz inteligencji. Natomiast coraz więcej znajdujemy ich... na peryferiach właśnie. Oto tak się poczęło dziać, że jedne peryferie spotkały się z drugimi. Peryferie zdegradowanej kultury wielkomiejskiej w swojej fali zwrotnej pędzącej z peryferii lokalizacyjnej, z tak zwanej prowincji nagle lepiej wspierają i czują potrzebę takiego wsparcie, takich uroczystości, literackiego świętowania niż te zblazowane elity Warszawki czy Poznania.

To, co wydarzyło się w tym roku w Śremie, Wągrowcu, w Lesznie, czy choćby w Polanicy Zdroju przerasta wyobrażenie wszelkie, że tam może się coś takiego wydarzać. Poeci z całego świata oraz poeci Polscy – przyjmowani są godnie, z honorem, z zainteresowaniem, z należnym szacunkiem. Literaturę uznaje się, nie za piąte koło u wozu – jak w Warszawie czy Poznaniu (mam na myśli władze, elity oraz decydentów), ale uznaje się ją jako sztukę ważną, wielokrotnie najważniejszą, ku ocaleniu tkanki społecznej zakorzenionej w intelektualnej kulturze słowa. Książki, w tym poezja są czytane, szanowane, omawiane, ba, podziwiane. Siłą rzeczy i twórcy tych precjozów są traktowani adekwatnie do wyrażonego zafascynowania.

Dlaczego owa fascynacja umknęła z tych ogromnych miast? Dlaczego wśród krajowych elit zanikł jakiś instynkt samozachowawczy wyrażony w hierarchii potrzeb kulturalnych? To pytania trudne i złożone. Jedną jednak z brutalniejszych i trafniejszych odpowiedzi jest sformułowanie na granicy wulgarności i ordynarności. Bo nastała epoka kultury chama. Bo chamów wpuszczono na salony. Bo chamstwu nie stawia się dziś żadnej tamy, a niejednokrotnie chamstwo się dziś pochwala i popiera relatywizując je do: zaradności, przedsiębiorczości i umiejętności radzenia sobie w pracy i w życiu.

Chamstwu się dziś klaszcze, byle stało za tym odpowiednie lobby i byle portfele były wypchane, a zaplecze właściwe i zaopatrzone. Smutna to rzeczywistość, ale jakże bardzo realna. Możemy przyglądać się jej na co dzień wraz z fontannami hipokryzji oraz złotoustych odwracaczy kota ogonem. Niestety pożyteczni idioci wywodzą się czasem i ze środowisk literackich. Nie załapali się na rewolucję, nie załapali na dystrybucję, to została im już tylko prostytucja.

I nagle okazało się, że pomimo skromności środków wszystkie te Festiwale zakończyły się sukcesem. Warszawski dzięki ogromnemu wsparci Unii Polskich Pisarzy Lekarzy – tętnił życiem i dyskusją literacką, poznański dzięki ośrodkom lokalnym, które oczarowały gościnnością oraz świadomością wagi literatury i kultury z tym związanej, polanicki dzięki zaangażowaniu władz lokalnych. Trudno wymieniać tu wszystkich

(Dokończenie na stronie 4)

Na peryferiach życia obserwując sępy

(Dokończenie ze strony 3)

z imienia i nazwiska, ale znamy przecież tych ludzi, tych którzy przechodzą piekło upokorzeń i afrontów, aby doprowadzić do zaistnienia tych wydarzeń literackich. Kilka postaci jednak zasługuje na wielkie brawa, a są to: Marek Wawrzkiewicz, Danuta Bartosz, Zbigniew Gordziej, Jerzy Beniamin Zimny czy Kazimierz Burnat. Bez nich, bez ich determinacji, samozaparcia, uporu czy konsekwencji nie byłoby kontynuacji pięknych tradycji podtrzymywania... no właśnie, niczego innego jak życia literackiego w Polsce.

Jeśli ktoś nie widzi, nie chce widzieć, czy nie rozumie korelacji tego życia literackiego u podstaw, u źródeł niejako z późniejszym efektem tego życia literackiego w postaci choćby tej nieszczęsnej (szeroko już omówionej od wszelkich stron) nagrody Nobla czy też innych achów i ochów okołoliterckich, to powinien powrócić do zagłębienia się od podstaw całej teorii literatury, wchodząc w szczególności w teorie jej kreatywności, powstawania, tworzenia i w atmosferę będącą podłożem tej siły sprawczej, że ktoś zaczyna pisać i jako debiutant musi później (ale szybko) spotkać się z odbiorcą, aby usprawniać czy szlifować warsztat, aby zaowocowały te relacje artystyczne: twórca – czytelnik i przyniosły w przyszłości obfity plon w postaci coraz to lepszych kolejnych książek, w których następuje rozwój autora po otrzymanych bodźcach. Takie spotkanie jak spotkanie autorskie, spotkanie w szkole, w bibliotece, czy z innymi twórcami w ramach festiwali to bezcenne doświadczenie dla artysty. Decydenci, którzy z powodu braku wyasygnowanych środków, braku chęci wsparcia i braku świadomości potrzeby takiego wsparcia powinni w przysłowiowym piekle się smażyć jako ocena ich przydatności społecznej. Czegóż my tu jeszcze jednak chcemy skoro Pan Premier w najnowszym swoim *exposé* o kulturze nie powiedział ani jednego słowa. To straszne i porażające. Wnioski wyciągnijcie sobie sami.

Wracając do Festiwali. Zewsząd otrzymywałem sugestie, że trzeba o tym napisać, że należy wystawić jakieś piękne laurki tym ludziom, którzy są jednak inni, którzy wspierają kulturę, sztukę, a zwłaszcza nasze bezcenne życie literackie jako podłoże do wszelakiego wzrostu. Ludzi, którzy mają wizję, chęci oraz potrzebę kultury najwyższej. To w pewnym sensie prawda. Niespotykany wcześniej rozmach tym imprezom nadali Starosta Wągrowiecki Tomasz Kranc, Burmistrz Miasta Wągrowca Jarosław Berendt oraz Wójt Gminy Wągrowiec Przemysław Majchrzak. Inicjatorką poetyckiej uczty była Przewodnicząca Rady Powiatu Wągrowieckiego, poetka Małgorzata Osuch. Z kolei w Śremie ogromne brawa należą się Burmistrzowi Śremu Adamowi Lewandowskiemu, przy okazji świetnemu poecie. Niedawno pisałem o Adamie jako o twórcy w tym jego unikalnym połączniu poezji z gigantyczną pracą dla społeczności lokalnej. Ten człowiek orkiestra doprowadził poziom kultury w czterdziestotysięcznym mieście Śrem (40 kilometrów od Poznania) na wyżyny przekraczające poziomem aglomeracje Warszawy i Poznania. Mówimy o skali oferty wobec liczby mieszkańców. I o poziomie tej oferty. To co nam tam pokazano: hipernowoczesna galeria sztuki wraz z salą widowiskową w ramach Muzeum w Śremie, Ośrodek Kultury czy sama biblioteka – nie odbiegająca w swej nowoczesności od biblioteki paryskiej to rzecz na mapie Polski po prostu bez precedensu. Wniosek zatem może być tylko jeden. Za tym wszystkim, aby w kulturze działo się dobrze stoją po prostu ludzie – ludzie pełni pasji, wiary i potrzeby tej kultury. Ludzie, na przeciwko sępom, które kulturę chcą rozszarpać i nas przy okazji... Ludzie, którzy stoją na antypodach tego społecznego marazmu, który zagnieździł się w świadomości wielkomiejskich elit i włodarzy. Przykład Festiwalu Poznańskiego dobrze oddaje zasadniczą tezę tej naszej smutnej peryferyjności.

Rys. Sławomir Łuczyński

Poparcie dla tej tezy znajdziemy też w Polanicy Zdroju. Festiwal imieniem Andrzeja Bartyńskiego napotyka na swej drodze już 16 rok wciąż nowe przeszkody, a pomimo tego trwa nadal i ciągle promieniuje swą kulturotwórczą rolą nie tylko na województwo dolnośląskie, ale na całą Polskę. Spotkanie autorskie przygotowane w Liceum Kłodzkim im. Chrobrego może być wzorcem spotkań tego typu na cały kraj. Znajomość współczesnej literatury polskiej uczniów tej szkoły wręcz zadziwia, a ich pasja książek szokuje wręcz na tle dzisiejszych młodych ludzi. Za to odpowiedzialni są rzecz jasna nauczyciele. I tak koło się domyka – wszystko tworzą ludzie. Ludzie likwidują albo utrudniają życie literackie, ale i ludzie je wskrzeszają, kultywują i pielęgnują. Zasługa Kazimierza Burnata w tym zakresie nie jest już nikomu obca. W tym roku dzięki niemu mogliśmy się spotkać z poetami: Bangladeszu, Grecji, Serbii, Łotwy, Wietnamu i Ukrainy. Poeta z Bangladeszu mieszkający na stale w Nowym Yorku i jest ściśle związany z nowojorską literacką bohemą artystyczną. Utrzymuje stałe kontakty z wiodącymi poetami amerykańskimi. Hassanal Abdullah, gdyż o nim tu mowa, znakomicie wpisał się w tegoroczną Polanicę, a my – jak zwykle – poczuliśmy się ubogaceni w nowe doznanie. Kolejna dykcja, nowa przestrzeń poezji, nowy człowiek i świat, który staje się dzięki takim akcjom coraz mniejszy i coraz przystępniejszy. Pomimo negatywnych aspektów unifikacji i globalizacji mamy nadzieję i potwierdzenie faktu, że jako poeci tworzymy jedną i jednorodną prawie rodzinę ludzką, która zdolna jest jeszcze coś zmienić na tym świecie. Choćby i na jego peryferiach...

Kończąc tę może nazbyt długą relację i refleksję przytoczę wiersz Hassanala, który dosyć dobrze oddaje czym są dziś nasze peryferie i jak się w nich... rozpoznać:

Sępy mają się dobrze

Kiedy byłem mały, widziałem ich kilka.
Lubiły siadać wysoko, na grubych konarach drzew.
Zazwyczaj więc były niewidoczne.
A one pewnie myślały, że są
lepsze od nas.
Dlatego rzadko widywałem ich wytworne skrzydła
i długie nagie szyje.
Jednak pewnego razu widziano je
po drugiej stronie drogi,
jak jadły mięso padłych krów.

Pobiegłem. Ujrzałem tylko stado wron, szakale
i urocze wiejskie pieski
pożerające smacznie krowie wymiona.
„Sępy rzadko przebywają tam, gdzie są ludzie,
żyją w górach" – mówili starsi.
Ale niekiedy przylatywały w pobliże naszej wioski,
siadały na polu albo na wysokich palmach.
Jak to dzieciaki, patrzyliśmy na nie z oddali
z mieszaniną strachu i ciekawości.

A teraz – widzę mnóstwo sępów dookoła.
Wiodą cudowne życie, pożerają najlepsze kąski.
Widzę ich tysiące, miliony.
Zdrowi, barwni –
żółci, niebiescy, czarni i czerwoni –
czekają na okazję, by wyszarpnąć ostrymi dziobami
kawałek nas.

Dzisiaj sępy
są dookoła.

(wiersz przełożył Tomasz Marek Sobieraj)

Andrzej Walter

Mniej Więcej (178)

Foto: Zofia Mikuła

Poezja nowej dykcji

Notka o Autorze głosi: *Dominik Żyburtowicz (1983), poeta. Pochodzi z Drawska Pomorskiego. Wiersze publikował m.in. w „Akcencie", „Odrze", „Twórczości". Wydał tom wierszy „Żaglowce" (2013), za który otrzymał główną nagrodę w konkursie na najlepszy poetycki debiut książkowy Złoty Środek Poezji oraz tom „Space-boy" (2017). Tłumaczony na język angielski, włoski, rosyjski. Mieszka koło Koszalina*.

Leszek Żuliński

Jak widać, Autor jest jeszcze „na dorobku", ale jak dotychczas ma już ciekawe osiągnięcia. Innymi słowy: wszedł na dobrą ścieżkę i nią podąża.

Ten nowy tomik Żyburtowicza pt. *Klucze uniwersalne* to – moim zdaniem – kolejny dobry krok do zaistnienia tego Autora, co nie takie łatwe w powodzi tomików poetyckich. Ale on sobie poradzi, poradzi…

Książka jest spora; liczy niemal 90 stron. Wiersze są podzielone na pięć rozdzialików – oto ich tytuły: *Modlitwa zakochanych*, *Pejzażysta*, *Jeżeli umarli mają marzenia*, *Klucze uniwersalne* i *Delfiny oceaniczne*.

Skoro Dominik nadał tomikowi tytuł *Klucze uniwersalne*, to może od tego rozdzialiku i od tegoż tytułu wiersza rozpocznę swój komentarz. Wiersza w całości nie przytaczam, bowiem w druku zajmuje on osiem stron, więc przeczytajcie taki oto wyimek zaczerpnięty z początku poematu: *lato / po tygodniach deszczu – gorąco / więc wśród pustych pól / kilometry spacerów / spocony medytuję na skraju lasu / od dawna nie było nad nami aż tak mocnej gwiazdy / cień mówi że jestem oddychającym płomieniem / potwierdza to przestrzeń gdy zamykam oczy // czasem / tęsknota za źródłem ssie bardziej / jestem jak dziecko w sklepie co wrzeszczy za cukierkami / wtedy źródło wstaje z martwych / i – zupełnie normalnie – przychodzi / pomiędzy dniami rozjaśnione / w ludziach książkach wydarzeniach // nagle / spać przy nim chodzić budzić się przy nim / jakby na świecie byli tylko ty i ono.*

To właściwie jest specyficzna dykcja Żyburtowicza – zdarzenia, powidoki, rozpamiętywania. Im bardziej brniemy w to, co nazwałem „poematem", tym bardziej wszystko jest pozbawione reizmu, konkretu, a raczej panuje tu dziwna przestrzeń: *czerwone białe / niebieskie fioletowe – znaki / rozciągają się w mgławice / chmury pyłu / konstelacje*… Ta osobliwa aura narasta od początku tomu. Rzecz w tym, że Autor swój świat nie rozpatruje w konkrecie, tylko w wewnętrznych konstelacjach doznań.

Jest w tym wszystkim także frapująca zagadka: co jakiś czas pojawia się tajemnicza postać Chuchanny – sęk w tym, że czasem występującej jako chuchanna. Pewna fraza wyjaśnia: *każdy dzień jest inny chuchano / inny jest każdy sen / inne jest nowe ciało / tonie pamięć / przez bramę / się przelewa strumień patrzenia / a całą resztę znają / jedynie gwiazdy rozpieszczone*.

Czytałem te wiersze kilkakrotnie i całkowicie dawałem się wciągnąć w ich ezoteryczną aurę. Ale to było jak błądzenie z zawiązanymi oczami. Żyburtowicz magnetycznie wciągał mnie w swój świat, a ja szedłem za nim jak wszyscy ci czterej ślepi pątnicy z obrazu Bruegla.

Tego typu aury literackiej nigdy dotychczas nie doznałem, ale lekturę tomiku wciągałem jak haszysz.

Sadzę, że sedno sprawy tkwi w osobliwej introwertyczności Żyburtowicza i jego głębokiej wyobraźni. To nie są wiersze „o czymś", to są wiersze o immanentnych sprawach tzw. duszy.

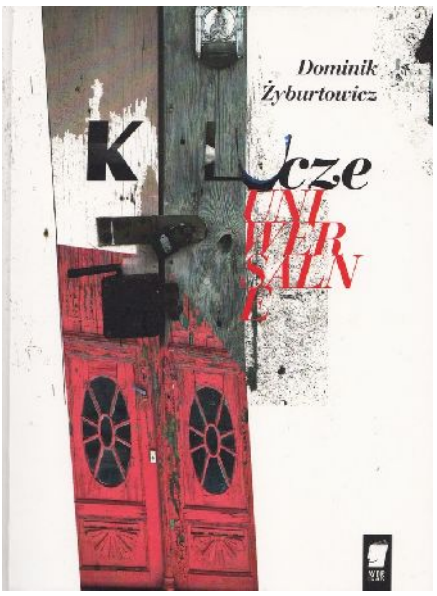

Być może dużo wyjaśnia wiersz pt. *Santa Maria 2*. Przeczytajcie: *Twarze przed nami i twarze za nami. / Ile ich było i będzie, nie policzysz. / Gdyby ulepić z tych łun ognista kulkę, / rzucić w gwiazdy – wybuchłaby w zamieszkałą planetę. / Uciekłem, by odpocząć na niej. / Od rana do wieczora żyję wspomnieniami. / A gdybyś zapytał o nazwę tej kuli, byś usłyszał, że to planeta bólu. // Maj to dobry miesiąc, abyś wstał, / znalazł nadzieje na nowy świat. / Bo nadzieję mieć trzeba. Zaufać / ludziom jeszcze raz. Niestety. // wszystko wskazuje, że inaczej się nie da. / Przed nami, Kolumbie, Warszawa*.

Wystarczy! Wy teraz rozmyślajcie sobie w listopadowy wieczór nad tym Autorem, a ja biorę się do ponownego jego czytania.

■

Dominik Żyburtowicz, *Klucze uniwersalne*, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury, Poznań 2019, s. 88

Dominik Żyburtowicz

Obudzić się

obudzić się
i zobaczyć świat
a potem po obudzeniu
obudzić się jeszcze raz
i zobaczyć –

Powroty

nieobecność
i ten ptak w oknie
z jednym chorym okiem
który miała

Podejrzenie

tamten wrzesień
wagary przedłużały się
do szesnastej u niego
u niej – do osiemnastej

pył biały pył
zlatywał z jabłoni gruszy
w podbrzuszach ich sypiał
a one kwitły

Pociąg Rachmaninoff – Miłość

Płynęła rzeczywistość miłości,
obserwowana z innego wymiaru.

przesuwanie
niewidzialnym palcem szklanych pociągów,

po szklanym ekranie
Rhapsodii Rachmaninoffa

Barbara Gajewska

on

za ścianą śmietnika jest zacisznie i spokojnie
nie zawiewa zimny wiatr od strony
przeszłości
nie dochodzą złe głosy od strony przyszłości
ludzie przynoszą hojnie chleb i litość
a czasem pogardę lub obojętność
więc on warknięciem odgradza swoje
legowisko
od ludzi
i od ofert normalnego świata
w którym wiedzie nienormalne życie

nie chce jałmużny nie prosi
umie wyłowić z odmętów śmietnika
odpadki dobrobytu
owoce morza –
suchy chleb nadpsute mięso spleśniały ser
zawija je w serwetę brudnej gazety
z której zlizuje ze smakiem
stare wiadomości

i tylko wieczorami gdy okna domów drwią
z ciemności
wypatruje za zasłonkami
cieni
które staną się jego baśnią

szkic do obrazu Gierymskiego

tych dwoje na drewnianej ławce przed
drewnianą chałupą
tępym niewidzeniem rozdzierają powietrze
a obok oparta o ścianę mała niebieska
trumienka
i śpi na kamieniach chudy pies

pies nie wyje
oni nie płaczą
nie tulą się do siebie nie szukają pocieszenia

ich milczenie odarte z łez i złorzeczeń
jest ciężkie jak dzień który nigdy nie
nadejdzie

pies nie wyje
wyją bezradne ręce kobiety
i zaprzeczenie zatrzymane w trzewiach
mężczyzny
wyją kamienie pod stopami
i drewniane bale starej chałupy

a niebieska trumienka z białym krzyżem
potężnieje w tajemnicy przeznaczenia

wiara

mój dom runął na piasek
nie umiałam znaleźć skały
jeszcze unosi się nad nim czerwony pył
w zdrewniałych żyłach krąży czarna krew
a heroina i heroizm nigdy nie spotkają się na
progu

a ty przyszedłeś cicho zbudowałeś nowy
dom
mówiłeś że dla nas że na zawsze
obmyłeś moje ręce z tamtego głodu
obmyłeś moje nogi z tamtej ucieczki
rozesłałeś pod stopami nową wiarę

moje serce

nadal szarpie się w klatce swojego świata
i chce góry przenosić
aromat gorącej kawy osiada miękko na
ścianach nowego domu
zatem wszystko może się zdarzyć

wiem że urodzę jeszcze nowy dzień
i stanę twarzą w twarz

Maria Łotocka

Zimowa zaduma

Stanisławowi Moniuszce

W drżącym powietrzu
niczym w mistycznym tańcu
krążą płatki śniegu
spadają z nieba
na miasto i drzewa
na wieżyczki gotyckiej Anny
w tej chłodnej przestrzeni
ponad Wilią
cudowne unoszą się dźwięki
w kościele św. Jana
Moniuszko gra na organach
mróz posrebrzył uliczki i domy
konną dorożkę z Oleńką
Staszek spieszy do narzeczonej
z czerwoną różą
przyprószoną śniegiem
Bernardyński ogród
utonął w zaspach
skute lodem umilkły jeziora
wśród szumu jodeł
płynie jak rzeka
śpiew pięknej Halki
nawet księżyc
dyskretnie wyjrzał zza chmury
poruszony tą pieśnią westchnął
mógłbym słuchać tej muzyki zawsze
Wenecjo Północy
ze snu Giedymina grodzie
z Ostrobramską Madonną
na co dzień
jak szron na obrazie Ruszczyca
nie znikaj
Moniuszkowska romantyczna
Muzyko...

Joanna Babiarz

porastanie

trawa rośnie w zupełnie
innym miejscu
niż zawsze

zarasta rzeki
uchodzi na dachy

teraz kiełkuje
w moich ramionach

ocalić resztki

przed głupcami
należy pochylić głowę

cierpliwie i łagodnie
odpowiadać na nudne pytania
na głupie nic nie mówić

przed łaknącymi
krwi
zatrzasnąć bramę

powtarzać zaklęcia
skrzyżować ręce
i uśmiechać się cicho

do wewnątrz

ostatnia gra

ostrzegali nas
że przyjdą potwory
bez mózgu
i zawładną światem

nikt nie słuchał
śmiali się
pukali do pustej głowy

teraz potwory
podstępnie
niezauważalnie
i bezkrwawo
wypruwają nam mózgi

słychać złowieszcze
ciach ciach
na ulicach krwawe strzępy

ci co przeżyją
napiszą nową książkę
w zupełnie innym języku

tylko okładka
ta sama

Małgorzata Skwarek-Gałęzka

* * *

zanim otworzę oczy
włączam myślenie
w trybie awaryjnym

jeśli wpuszczę
świat pod powieki
pozostanę tutaj
światło wpadając
przez otwory źrenic
wymieni czerń i biel
na doskonałą kopię

czasami oryginał
kaleczy i boli

gdy mina rozterki
zlizuję powietrze z warg
zastanawiam się
czy to ja
obłęd na gwoździu
niczym wieniec świąteczny
na drzwiach domu

* * *

buntuje się dusza
jakby chciała wycofać się z życia
na górna półkę
pod sama chmurę marzenia
przebierałaby paluszkami
po nitkach mokrego światła
brzdąkała uspokajająco
kładąc kompresy
na skronie obciążone troska
na dziurę po sercu wyrwanym
dla zachowania ciszy
ulatnia się głos
noc zalega kamieniem

* * *

są wąskie
jak ściśnięte gardło
po których noga
za noga
wędruje się samotnie
jeden kierunek ruchu
przez mgłę
w mrok

gdy otwiera się droga
nic nie da
narzekanie na ciasne
jednorazowe buty
wywrócone podszewka gwiazdy
lustra które
nie maja twarzy

Jan Tulik

Zazdrość

Jeszcze nie wchodź w inne ramiona
Jeszcze masz młode i prawie świeże wargi
Popiół jeszcze ciepły

Cień

Dom jest piękny jeśli dym z komina
Miesza się z zapachem kwiatu lipy u jego ścian
A domownicy cieszą się słowem Cień

Zdziwiony

Człowiek który przyszedł
Był zdziwiony
Zapewne nie wiedział nic lub mało

Czytanie z ofiar

Piszący o idei maczali złote stalówki we krwi
Ofiary są pamięcią Mówiąc nie zaprzecza się
Mówiąc tak zaprzecza się

Wieczna woda

Starzec na krawędzi wysokiej skały
Pochłanianej językami przypływu widzi
przed sobą Otchłań
Zastanawia się ile to jest połowa wieczności
Nim runie z podmytym brzegiem w Wieczną
wodę

Między ptakiem a cieniem

Ptak w słońcu leci z szybkością cienia
Między ptakiem a cieniem
zamieszkam

Królestwo

Na tronie pajęczyna robaczywe jabłko
Berło zbutwiałe
Cóż to za królestwo panie Boże

Grudniowy fiołek

Grudniowy fiołek równie piękny
Lecz nie czyni wiosny
Mówię to ja pensjonariusz domu św.
Kazimierza

Koncert

Smyczek przebija niebo aż do Światła
Widzę go jeszcze tam a on już poniżej biodra
W moim uchu wilga i kos moszczą Niebo

Maria Wardzichowska-Woźniak

* * *

tak mi brakuje światła
noc po nocy odpływa
a nie może odpłynąć na zawsze
wszystkie słowa odchodzą
i staje mi się obca mowa
a może to ja przestaję być człowiekiem
w słońcu
którego dla mnie zabrakło
mimo że świeci
dobrym i złym

czekam
aż noc odpłynie
litościwsza niż słońce
zwracam się ku ciemności
której nieludzki język
jest bardziej zrozumiały

z zamkniętymi oczami

zżycia nie wychodzi się
cało
wszyscy umierają
nikt przy zdrowych zmysłach
nie uwierzy
że góra się rzuci w morze

najlepiej iść po linie
z zamkniętymi oczami
myśląc
że to twardy grunt
żyć
jakby się ciała
nie miało
jakby się tylko zdawało
że codziennie
bezpowrotnie ginie

nie wiedzieć
czy ono jest
czy już go nie ma

* * *

bardziej niż przez istnienie
jesteś
przez swój brak
a rozpacz
mój codzienny chleb
tylko dlatego mnie nie zatruwa
bo go nie jem

odkrycie które mi darowałeś
mnie oślepiło
tak wielki był jego blask

Stanisław Stanik

Grochowina rediviva

Wyjątki z pamiętnika

9 listopada 1977

Przedwczoraj był Grochowina. Siedział do pół do drugiej w nocy, ale nie miałem go gdzie położyć, bo u siebie – to trochę bałem się. Był zdziwiony.

17 lutego 1978

Wieczorem odwiedziłem Grochowinę na Kochanowskiego. Trudno mi ocenić tę wizytę, bo każdy wody w usta nabiera. Trzy jego wiersze wybrałem do „Kierunków". Trochę robiłem selekcji pod kątem tomiku. Rozmawialiśmy o pomieszkaniu, planach, Januszu.

20 czerwca 1978

Bodaj 18 czy 17 czerwca po telefonie od Koby z Radomia. Pojechałem do Kickiego, gdzie było spotkanie Gremium. Grochowina, Soroka, inni. Ci dwaj, Koba i ja, dwie dziewczyny – była wódka.

13 sierpnia 1978

A tymczasem Grochowina wczoraj – czy dzisiaj rano pojechał do Zakopanego. Falkiewicz udał się nad morze. Rojek przeprowadził się do Pruszkowa. Cisza wielka, pieniądze potrzebne, czas jechać do domu.

3 września 1978

Dzisiaj niedziela. Był Józef Grochowina z kilkoma wierszami, które napisał w Zakopanem. Ma dać je do prasy, potem włączyć do drugiego tomiku. Posiedział w pokoju, który teraz na razie nazywam moim, wypił kilka herbat. Potem wyszliśmy.

Odwiedziliśmy ulicę Kwitnącą, gdzie pokój miał czekać na Janusza Stępnia, potem weszliśmy do baru. Józek zdenerwował się mało estetycznymi widokami. Na Broniewskiego nawiedziła go chandra. Słuchaliśmy Cata Stevensa, potem jedliśmy jabłka. Chandra mu nie minęła.

4 września 1978

Zaraz potem, gdy zacząłem robić toaletę w łazience, mam telefon od Grochowiny. Dzwonił „podcięty" z Dworca Centralnego. Doniósł mi, że proponują mu ryczałt w „Nowym Wyrazie". Jako redaktor zajmowałby się tam działem poezji. To zresztą rozstrzygnie się w czwartek.

16 września 1978

Wczoraj był długo Józek Grochowina, któremu strzeliło do głowy, abym recenzował Mączkę. Ten Mączka, to przewodniczący ośrodka „Kakaempe" w Warszawie. Pracuje w ruchu młodzieżowym, ale niech – no, spróbuję napisać o nim do „Kierunków".

Józek przyniósł wino, za które płacimy po połowie. Gadaliśmy długo po dziewiątej. Nareszcie – widzę, że Józek podchodzi do mnie poważnie. Nie ma nic przeciwko temu, że piszę, że mam aspiracje i jakieś tam pretensje.

14 października 1978

Wyszedłem na spotkanie z Kumańskim, ale nie było go na czas. Może spóźnił się, może wcale nie przyjechał do Warszawy. Ale po co dzwoni, że wpada?

Z Grochowiną długo gadaliśmy na różne tematy. Był u mnie w pokoju. Piliśmy tanie wino. Dyskutowaliśmy o życiu i bogactwie, jakby to drugie było blisko w zasięgu. Okazało się, że mamy dwie różne koncepcje życia. Wynikają z dwu różnych estetyk.

Koło dziewiątej odwiedziłem Józefa w jego pokoju. Kończyliśmy rozmowę o estetykach. W literaturze Grochowina stawia na krystaliczność artystyczną. Lubi używać „r" i „s". Ja lubię „ż", „p", „na", przez co chcę pokazać ciepło.

Mówiliśmy i słuchaliśmy muzyki. Luxemburg dawał modny teraz *panrok* (co może pisać się jako punk rock, ale czy aby na pewno?). Józka nic nie dawali, natomiast dał mi list Janusza Stępnia. Donosił on w tym liście, że nie dostał się w Łodzi na jakąś szkołę dramatyczną. Wobec tego przyjeżdża w następnym tygodniu do Warszawy.

26 października 1978

Dałem Józkowi cztery zwrotki (2 karty) do piosenki. On ma dopisać refren, poprawić może coś i dać do śpiewania. Próbny tytuł „W toni słońca". Jutro zdaje egzamin, żali się na stałą zapaść psychiczną. Dziś na przykład źle obszedł się z Żylińską, miał z tego powodu chandrę. Odmówiono mu druku w „Twórczości", gdzie z kolei obdrukowywano Ochwanowskiego, miał pretensję do siebie. I tak wkoło. Tyle, że Józka śpiewają w radiu. Mój zaakceptowany pseudonim do opatrzenia nim piosenki to Ruta, imię Jacek.

2 stycznia 1979

Zaglądam dziś do Józka G. Tak, pieniądze przyszły przed świętami. – Wiesz, byłem na Woli, ciebie nie było – powiedział Józek do mnie. – Pisałem do Janusza, stało tam, że będę na Bielanach – odpowiadam. – Janusz nic nie mówił – Józek na to. – Dobra – myślę sobie – wy nic nie mówiliście, nic nie wiecie, nie możecie – odpowiadam z przekąsem.

– Pożycz 500 zł – Józek do mnie po oddaniu mi przesłanej z domu kwoty. – Nie mogę, mam pilne zakupy, garnitur, co tam jeszcze. A mieszkanie, a życie? – To 300 – napada. – Masz trzysta. Do przyszłego tygodnia, do przyszłego tygodnia – odpieram.

1 marca 1979

Byłem dwa razy na spotkaniu koła młodych przy Związku Literatów Polskich. W ostatnie dwa poniedziałki ze starych znajomych spotkałem Renę Marciniak, Józka, Janusza. Zabrałem głos na minionym spotkaniu po występie jakiegoś Konocza czy innego dziennikarza, co próbuje pisać opowiadania. Za pierwszym razem był występ Mętraka.

25 marca 1979

W naszych planach z Magdą nic się nie zmieniło. W piątek byliśmy w Pałacu Ślubów, ale nas nie przyjęto. Było późno, bo piątek. W sobotę wpisaliśmy się do rejestru, w wyniku czego ślub ma odbyć się 29 kwietnia o dziewiątej pięćdziesiąt. Przyjechał wieczorem Józek Grochowina, ma być świadkiem na naszym ślubie. Wypiliśmy wino, pogawędziliśmy.

13 maja 1979

Wczoraj zadzwoniłem do Kumańskiego. Po południu gościł u nas, tj. u mnie z żoną Grochowina. Porozmawialiśmy trochę, dałem mu adresy z pokojem do wynajęcia. Powiedział: na solidnych ludzi zawsze można liczyć, ale w gruncie rzeczy – złości mnie. Mam go dosyć, bo gdyby mu pozwolić – wszystko by rozbił, zniszczył.

16 stycznia 1980

W liściku do żony w szpitalu napisałem: „Cieszę się bardzo, że mam potomka nie wiedząc, że jest nim chłopak. Ale trafiłem pisząc, że jest to potomek płci męskiej. Włodek Koba ma przyjechać z wizytą do mnie w piątek. Grochowina obiecał też wpaść do domu, ale coś go długo nie widać. Zależy mi na jego pojawieniu się, bo grosza przy duszy nie mam.

25 stycznia 1980

Zaczynam pisać pracę studencką dla Józka. Wszystko inne – zwłaszcza z Magdą – jest rozgrzebane.

3 lutego 1980

19 stycznia, w trzy dni po urodzeniu się syna Łukaszka, Józek napisał następującej treści dla mnie wiersz:

Staszku, który stoisz
pomiędzy wiejską furtą
a łukiem Trajana
módl się za jaskółki
grudek powszedniego czasu
wzlatującego od ziemnego gniazda
aż tam gdzie świeci Wenus
– bo jest niepodległa
Jak podanie ręki

Koba napisał osobny wiersz (zaszło to w czasie naszego pijaństwa), ale od tego czasu wiele się zmieniło, zarówno w mojej relacji z Kobą, jak i z Grochowiną.

27 czerwca 1980

Józek był przed paroma dniami. Chciał, aby go przenocować. Przenocował. Wszedł na kacu, zrobił larum, bo go pozbawili mieszkania na Pięknej, zatem poradziłem mu wybrać Pogorzel Warszawską, gdzie prowadziłem kiedyś obóz junaków. Pojechał tam. Już parę dni mija, jak go nie widziałem. Chyba tam został.

3 lipca 1980

Nudno się zrobiło. Smutno. Widziałem wczoraj w Bartyce [?] Renę Marciniak. Józek nocując przedwczoraj na mojej i żony stancji prosił o pozostanie u nas jeszcze na noc. Zgodziliśmy się, ale nie przyszedł. Być może znalazł jakiś inny lokal dla siebie.

Grochowina rediviva

Mało kto wie, że Józef Andrzej Grochowina, poeta pińczowski, zadebiutował w wieku siedemnastu lat (1971). Sam podawał, że pierwszy jego wiersz ukazał się w „Głosie Młodzieży" o rok wcześniej. Przeglądając zszywki pisma Związku Młodzieży Wiejskiej dochodzi się do wniosku, że próżne są poszukiwania debiutu w 1970 roku, a ten rok podawał poeta zawsze, z wyjątkiem daty 1967, wymienionej w wywiadzie dla „Plonu" pt. „Poeta – syn niepiśmiennego" (1996). Uznawał poeta następnie, że inicjacja utworem (***) „Obsiałem się równomiernie" nastąpiła w okienku prowadzonym długo w „Głosie Młodzieży" przez innego znanego poetę, Tadeusza Nowaka.

Pierwszy wiersz Grochowiny, jakby utrzymany w zaskakująco nowoczesnej konwencji, podejmuje trend dionizyjski. Przebija przez ten wiersz młodość, świeżość i radość życia, na wzór tej, jaką wykazywał Julian Tuwim w wierszu pt. „Wiosna". Wystąpiły też tu akcenty smutku i żalu, typowe dla prawie całej późniejszej twórczości poety. Żeby wyrobić sobie pojęcie o utworze debiutanckim (bez tytułu) Józefa Andrzeja Grochowiny, należy zapoznać się z jego brzmieniem:

* * *

Obsiałem się równomiernie.
Dziękuję za pomoc,
za radło chlebokształtne,
pośledniego garść ziarna.
Chwasty swym ogniem
grożą mi w oddali,
ale przecież ptaki
mam tuż ponad głową.
Nad moim polem słońce się zbiera
skowronek młody pędem ogromnieje,
parna tłusta gleba bryli się powoli,
słychać szum rosnącej ziemi.
Nie myślę o żniwach…
Wiem – najpierw obrodzić…
Trzeba się rozliczyć z każdej cząstki:
piasku
wody
czasu.
Nie, nie boję się pory Dionizosa
pragnę tylko zejścia
godnego jej stołu.

(„Głos Młodzieży" 1971, nr 6, s. 10)

Redaktorem naczelnym „Głosu Młodzieży" był Tadeusz Leśniak, który lansował talenty ze wsi. Nie stronił od popularyzowania Nowej Fali, zwłaszcza jej nurtu prowincjonalnego. Przedstawił w osobnym dodatku literackim grupę krakowski „Tylicz" (Józef Baran, Andrzej K. Torbus, Jerzy Gizella i inni), reprezentującą nurt rustykalny w młodej poezji.

Józef Andrzej Grochowina wyrastał pod wpływem literatury starszych kolegów (Gołębiowskiego, Józefa Ozgi Michalskiego, Pocka, Henryka Jachimowskiego). Również u początków wchodził do poezji pod znakiem nurtu rustykalnego. Miał on głębokie zakorzenienie w twórczości poetyckiej naszego kraju, a sielanka uchodziła za najbardziej polski gatunek literacki. Pisał o tym Jerzy Pietrkiewicz, a zaczątki gatunku datował jeszcze na średniowiecze.

Wątki rustykalne u Grochowiny przewijać się będą przez cały przeciąg jego twórczości. Własnością osobliwą było to, że wywodząc się w małej wioski (Tomaszów pod Kielcami) twórca podejmował mało istotne, błahe tematy, naświetlając je bardzo poważnie, z niechęcią i z doznaniem smutku. Świat u niego stał się śmietnikiem i z zbiorowiskiem odpadów, podchodził do niego, jak w ogóle do całego świata, z poczuciem brzydoty. W ogóle poczucie klasycznego piękna ustępowało turpizmowi (termin Juliana Przybosia), i był to termin, który nie licował z wstępnym rozdziałem jego twórczości, wyrastający „z opłotków" Związku Młodzieży Wiejskiej, której „Głos Młodzieży" był organem prasowym. Przez dojrzałe życie poety przewinęły się takie tytuły prasowe o proweniencji wiejskiej (poza „Głosem Młodzieży"), jak „Zielony Sztandar", „Nowa Wieś", „Gospodyni", „Regiony" i Grochowina na początku tkwił w nurcie wiejskim, ale jego poezja była nowatorska.

Szybko zaznaczyło się u niego oddziaływanie Stanisława Grochowiaka, zwłaszcza przez pochwałę obrzydliwości, traktowanie ciała jako kupy mięsa (i wszelkiej strawy), zniechęcenia życiem aż do nihilizmu, ogólna desperacja. Miał swoiste poczucie estetyki, która odpychała brzydotę tego świata i stwarzała wrażenie wewnętrznej czystości skrywanej pod patyną brudu. Widoczna w jego wierszach jest jednak ciemność Grochowiakowska, profetyzm (na granicy obrazy Boga jak u Mickiewicza w Collage de France), wręcz przeklinanie, uwłaczanie Mu (obrazoburstwo). Znawcy biografii Grochowiny orzekną w tym miejscu, że poeta miał podstawy fizjologiczne, aby złorzeczyć. Był uważany wcześnie za innego, odmiennego (stąd wziął się tytuł jego zbioru wierszy „Niedokształt").

Delikatne tony swych wątpliwości religijnych przeradzają się z czasem w bunt i dehumanizację świata. O to szczególnie mieli pretensję krytycy literaccy z późniejszego okresu życia poety: Stefan Jurkowski, Ada Szubowa, niektórzy inni. Turpizm występował nie tylko u Grochowiny i u Grochowiaka, był nutem wielu reprezentantów, szczególnie w epoce PRL-owskiej, która wysoce obniżała pogląd na normatywy wiary, czy jednak Grochowina był poniekąd wątpiący? – oto pytanie, na jakie trudno udzielić odpowiedzi. Początek tej twórczości nie kazałby odpowiedzieć twierdząco na to pytanie, a koniec – tak, wszak przecież zachodził profetyzm, bezczeszczenie serca. Może życie skłoniło poetę do profetyzmu, a może – prawdopodobnie – do niewiary?

O światopoglądzie Józefa Andrzeja Grochowiny długo by mówić. Szerszym zagadnieniem jest nurt, w który poeta się wpisywał i który stał się mu właściwy. Wiadomo że wkraczał do poezji pod znakiem rustykalizmu, charakter tej twórczości bliski był jednak egzystencjalizmowi. Ten kierunek literacki nie rozwinął się w Polsce wystarczającą znacznie, a znalazł w Grochowinie godnego wyznawcę. We Francji był popularny jako prąd umysłowy i styl życia i znalazł reprezentantów w takich twórcach jak Jean Paul Sartre, Simone de Beauvoir, Albert Camus. W naszym kraju egzystencjalizm prawie wcale nie wystąpił, wszak można do niego zaliczyć Andrzeja Bursę, Stachurę, Rafała Wojaczka, poetów losu i determinacji.

Egzystencjaliści uznawali, że człowiek nie posiada wolności, zależy od biologii i wolnej gry uwarunkowani. Na tym tle wyrazista staje się pozycja Grochowiny. Przedstawia inercję ciała i cierpienie duchowe, bezwolność i uzależnienie od okoliczności. Jego bunt przeciwko doznaniu swojej znikomości przechodzi w krzyk i zdolność samounicestwienia się i zagłady. Za swoich mistrzów ze sfery filozofii ma nie tylko egzystencjalistów francuskich, ale i Pascala i Heideggera. W sztuce słownej mogą przyświecać mu twórcy – buntownicy z dziedziny plastycznej, m.in. Vincent van Gogh, jako że uczył się on w szkole licealnej grafiki. Najogólniej rzecz biorąc tyle da się powiedzieć o poglądowej stronie Józefa A. Grochowiny kierując uwagę na technice pisarskiej (środki poetyckie). Jest nieodłączna od idei, jednak ma ona swoje uzasadnienie teoretyczne, praktyczne i historyczne. Już u początków swego pisarstwa poeta znajdował umiejscowienie w lingwizmie, który zapoczątkował Nową Falę.

Trwały długo przymiarki do usytuowania poety we właściwym pokoleniu, wskazując raz na Nową Falę, innym razem na Nowe Roczniki, a jeszcze innym na nową prywatność. Kierując się czasem wystąpienia Grochowiny ze swoją twórczością, należy raczej przypisać go do Nowej Fali, gdyż wystąpił prawie jednocześnie z rustykalną grupą „Tylicz", i to na łamach „Walki Młodych". Poezja tego pokolenia krystalizowała się w latach 1968-1970, a Grochowina jak się zdaje pojawił się na widowni giełdy literackiej – jak wspomniano – w 1971 roku. Mało tego, że pojawił się w odpowiednim czasie, ale zaraz zaczął drukować na łamach organów tego pokolenia – czasopism „Radar" i „Nowy Wyraz". Jego jeden z pierwszych wierszy „Jedno słowo" („Słowo Ludu") przypominał tytułem wiersz („Jednym tchem") jeszcze znakomitszego przedstawiciela Nowej Fali. Wskazywał on swoim młodzieńczym tempie na potrzebę szybkiego wypowiedzenia się, życia w ustawicznym pośpiechu, chęć „spalenia" się celem swej realizacji do końca. Podobnie można odczytać tytuł debiutanckiego tomu wierszy poety „Do końca bieg" (Kielce, 1974). Przejął, a może wystąpił niezależnie od swoich kolegów po piórze z hasłami nowofalowymi: zmienność obrazowania, wyeksponowanie ruchu, realizację słynnych haseł Peiperowskich 3xM („miasto, masa, maszyna"), dynamizm obrazowania, realizm rekwizytów, nadawanie sytuacjom rozmachu, buntowniczość, obrazoburstwo, skłonność ku nadrealizmowi.

Jak wspomniano, Nową Falę zapoczątkował lingwizm, i to ściśle w wydaniu Stanisława Barańczaka, mającego za swych mistrzów Witolda Wirpszę i Edwarda Balcerzana. Czy lingwistów poznawał Grochowina z lektury, czy wystąpił z jej konkretyzacją niezależnie od nich, trudno rozsądzić. Dość, że w wywiadzie mnie udzielonym („Plon") powiedział wyraźnie na swoje terminowanie w tej szkole. Podobieństwo z jej hasłami wyraża się w tym przypadku przez: przenoszenie słowa z wersetu do wersetu z przerwaniem linearności wypowiedzi, osiąganie dwupłaszczyznowości semantycznej przebiegu myśli przez prowadzenie gry językowej, rwanie wypowiedzi przez tworzenie niespójności obrazów, służących raczej wieloznaczności niż monolitowi znaczenia słów, zapis sytuacji w bezorzeczeniowym zdań, itp.

Poeta rodem z ziemi świętokrzyskiej wikłał się w różne prądy i kierunki współczesnej literatury. Eksperymentu formalnego dokonywał w części swej twórczości określanej mianem poezji współczesnej. Józef Andrzej Grochowina był z wykształcenia plastykiem (skończył kieleckie Liceum Sztuk Plastycznych), w szkole malował, rysował, szkicował kubistyczne formy. Poza pisaniem wierszy tradycyjnych (aczkolwiek od początku nowatorskich) podejmował próby z poezją konkretną (graficzną), jeszcze w Kielcach. Opublikował swoje prace z tej sfery w „Poezji" (1976 nr 6, czerwic), brał udział w wystawach poezji konkretnej w Warszawie i Utrechcie. Z reguły były one bardzo tradycyjne i w wyższym stopniu plastyczne niż literackie. Prowadził w nich grę znaczeniową najmniejszych nawet znaków, nie tylko słownych. Jedna z bardziej skomplikowanych prac w kształcie serca obrazuje wielość możliwości interpretacyjnych „grafiki".

Czas wrócić do kierunku dominującego w dorobku poetyckim J.A. Grochowiny, egzystencjalizmu. Zaciążył on na artyście nie tylko jako pewien zbiór sądów i przekonań, ale i na wyborach życiowych. Niemal od początków jego poezja odznacza się fatalizmem i determinacją (ograniczonością wolności). Nie tyle na świecie jego doświadczeń ciąży brzydota, ile poczucie grożącego kresy, śmierć. Nad bohaterem wisi pętla (tytuł jednego z wczesnych jego wierszy), grozi upadek (tytuł utworu Camusa), samounicestwienie. W rzeczy samej autor jakby przewiduje nieuchronność tragicznej swej śmierci, a dopóki ona nie nadciąga, trwa „do końca bieg", przetacza się przed czytelnikiem „rewia" jego możliwości, odbywa się zmaganie z „niedokształtem" i ograniczonością jego ciała.

Poeta wyraża się najczęściej przez stałe ukazywanie motywów swego losu, najbliższej rodziny (ojciec, siostra, czasem matka) i obecności od początku do końca w twórczości akcentów rustykalnych. Wieś z czasem występuje w jego poezji jako znaczny balast, a jednocześnie też jako upostaciowienie zatraconego piękna, zwłaszcza w okresie warszawskim, właściwie do swej tragicznej śmierci. Co prawda żartuje i ironizuje z niej, podchodzi do niej jako sprawy oswojonej, przeklina ją, znów powraca do niej – przez cały przeciąg swego dorosłego życia. Ale że wszedł w rustykalizmie nowofalowy (na wzór Adama Ziemianina i Józefa Barana), przejął dla siebie z Nowej Fali kontestację i właściwie jego śmierć była kontestacją przeciw życiu.

Stanisław Stanik

Rytuał, Rząd, nierząd i obrzędy (wstydliwe)

Tegoroczne Festiwale Poezji jeszcze się odbędą, albo i niektóre już się odbyły.

Festiwale różne, przeróżne, bogatsze i skromniejsze, merytorycznie ważne i te mniej ważne, ale generalnie promieniujące i wpływające na społeczną świadomość literacką, na kreację potrzeby literatury w jej roli kulturotwórczej i wychowującej, zwłaszcza najmłodsze pokolenia w miłości do książki czy książek.

Cóż z tego, skoro wszystkie te zalety Festiwali, wszystkie te ich zaplecza, prerogatywy oraz ich rola czy znaczenie stały się dziś przez jakikolwiek mecenat coraz mniej zauważalne, cóż z tego skoro nawet nie tylko mecenat, ale i przestrzeń społeczna, publiczna, miejska i ta ponoć inteligencka stały się coraz mniej łaskawe i pojemne dla literatów, poetów czy pisarzy. Dla ponoć artystów – pióra i słowa.

Artyści ci są dziś: wyszydzani, upokarzani, degradowani do roli brzęczącej muchy wyciągającej bezczelnie rękę po środki na jakieś duszne i nudne sesje nikomu niepotrzebnych nasiadów – znakomitych usypiaczy ludzi wydawałoby się decydujących o rozwoju kultury w tym kraju.

Wszystko to jest coraz bardziej żenujące, uwłaczające, niszczące, a Festiwale Literackie, niektóre z półwiecznymi niemal tradycjami stanowić dziś poczęły cień samych siebie sprzed lat. Ludzie, którzy je jeszcze tworzą, kreują i pozwalają się tak upokarzać w podziwu godnej Sprawie są coraz wątlejsi, coraz słabsi i coraz mocniej zniechęcani. Ludzie, którzy je wspomagają coraz silnej doświadczają obojętności, rezygnacji i atmosfery stypy bardziej, niż literackiego święta, która ma – działać, roztaczać wizje i gnać całą kulturę w przyszłość.

Jeden z największych dyletantów w branży szeroko rozumianej kultury, to największy szkodnik działań dla tejże kultury, a jest nim po czterech latach rządów obecny jej minister. Poprzedni nie byli lepsi, ale odnosiłem wrażenie, że mają jednak więcej świadomości potrzeby wsparcia literatury jako takiej niż minister obecny.

Drugim szkodnikiem są media, kreujące taką, a nie inną rzeczywistość postrzegania kultury i tego co się za kulturę uznaje.

Trzecim szkodnikiem są przedstawiciele grona pedagogicznego, które to grona nie mają potrzeby organizacji spotkań z literatem jako osobą ciekawą dla młodych i inspirującą ich w jakiejś dziedzinie życia i świata na przyszłość. Nawet jeśli wpływ tych spotkań ograniczy się do kilku jednostek.

Kolejnym szkodnikiem są biblioteki, które nie widzą potrzeby promowania takich spotkań, wieczorów autorskich z nieznanymi (znów przez media) szerzej pisarzami czy poetami. Dziś liczy się tylko celebryta. I tak zamyka się kołowrót upadku.

Nobla wszyscy chcą. Noblem się wszyscy ekscytują. Dzwonią fanfary i trąbi się na lewo i prawo o sukcesie. Kuźnie talentów i pracę u podstaw ma się za nic. Wyobraźnia ptaka Dodo – czyli jaskiniowa wyobraźnia ludzi wydawałoby się do tejże wyobraźni powołanych, do niej wezwanych i wobec takiej odpowiedzialności za przyszłość postawionych. Postawionych zbędnie i na próżno.

Tegoroczne Festiwale Poezji, powtórzę, jeszcze się odbędą, albo i niektóre już się odbyły.

Pytaniem zasadnym jest: ile razy się jeszcze one odbędą? Po co i dla kogo? Kto to dłużej wytrzyma? Czy pustka wśród czytelników oznaczać ma niechęć do literatury, czy

to tylko wyraz zachłyśnięcia się czasowego nowymi technikami spędzania wolnego czasu, czy to jedynie stan przejściowy, stan choroby, który minie? Czy winni nie jesteśmy my wszyscy godząc się na taką rzeczywistość, w której niechętnie nazywa się sprawy po imieniu, a w którym króluje poprawność polityczna i kulturotwórcza zgoda na urynkowienie sztuki?

Trudno dziś o tym publicznie rozmawiać. Jest jeszcze szkodnik piąty. Infrastruktura literacka, plująca we własne gniazdo, nagradzająca szmirę w miejsce rzeczy wartościowych, kierująca się bardziej zapleczem lobbystycznym pełnym korzyści zamiast zapleczem merytorycznym pełnym społecznego ostracyzmu albo wręcz obojętności wydawniczej, skoro książka została pasowana na waleczny produkt.

Smutne jest to wszystko i coraz bardziej dołujące ludzi branży, ludzi było, nie było sztuki, ludzi wrażliwych, skomplikowanych, a często wyrzucanych poza społeczny nawias twórców docenionych. Upadek jednak wciąż się rozwija. Świat literacki pomimo enklaw, getta i nisz stopniowo zamiera, umiera, albo obumiera. Agonia jest długa i trudna. Życie w tym świecie coraz bardziej jest tylko pozorem, namiastką i uszyte z pewnej sztuczności, czy też robienia dobrej miny do złej gry. Gra ta z kolei jest grą o życie. Dopóki nie uzmysłowią sobie tego wszyscy dopóty nic się nie zmieni. Podążać będziemy po równi pochyłej i zmierzać stopniowo ku przepaści.

I nawet jeśli w nią nie wpadniemy poziom literatury rozdwoi się na alternatywę pomiędzy: niezrozumiałym bełkotem kreacji rynkowych szokujących jedynie czytelnika i... literaturę: bardzo lekką, łatwą i przyjemną – dobrze sprzedawalną i oswojoną promocyjnie czy propagandowo. Literatura prawdziwa, w tym poezja stanowić będą efemerydę tak rzadką, jak wymierające gatunki w lasach dziewiczych. Obym nie dożył tej diagnozy i obym się mylił, czego sobie i Wam życzę...

I zapraszam na kolejne Festiwale Poezji. Choćby i po to, aby się wódki napić. Skoro stypa, to niech będzie prawdziwa, realna, zgodna z rytuałem i obrzędem. A rząd (i nierząd) niechaj dalej rozdają nasze ciężko zarobione pieniądze, które rozdają już niemal na wszystko, tylko nie na kulturę (no, ja wiem, że oni ciut inaczej rozumieją kulturę).

Rząd polski kulturę poddał swoistej cenzurze znaczenia i kastracji formy. Uznał, że kultura jest zbędna, bo kabaret i tak się dobrze rozwija i dostarcza odpowiedniej rozrywki roznamiętnionym wyborcom. A po cóż takiemu wyborcy jakaś tam kultura – jakieś pożal się Boże wierszydła. Po co im poezja plus pięćset dylematów z nią związanych, ba, może nawet i tysiące dylematów. Budżet może już tego nie udźwignąć.

Andrzej Walter

Miłość: pamięć i czas

Miłość potrafi czynić z ludźmi „prawdziwe cuda", odzyskiwać utracone wspomnienia, kochać ludzi nawet po ich śmierci, ale i żywić to uczucie do miejsc, w których ono kwitło. Szczególnie tego typu emocje miłosne towarzyszą kobietom, które bywają bardziej wrażliwe jak mężczyźni, ale wynika to zdaje się z nadzwyczajnej ich umiejętności eksponowania tego typu przeżyć. Po utracie obiektu miłości ludzie najczęściej przeżywają ogromny, osobisty dramat egzystencjalny i przez pewien czas nie są w stanie się z tym pogodzić. Jednak wcześniej czy później ta miłość sama w sobie się odradza i kochającym wydaje się, że dalej jest kontynuowana. Z taką sytuacja mamy w niedawno opublikowanym tomik **Danuty Perier-Berskiej** pt. „Wychodzenie z raju".

We wcześniejszym tomiku pt. „W windzie Pana poznałam / czy nam się to śniło" (2017) można było przeczytać utwory, w których poetka narzekała na los, który pozbawił ją męża, z którym spędziła piękny okres swojego życia, Odbyli liczne podróże po Europie, zaś Paryż zrobił na nich kolosalne wrażenia i nie trudno sobie wyobrazić, że mieli dylemat czy jest on piękniejszy i „godzien miłości" jak nasz Kraków. Te podróże po Europie, uczestnictwo w wielu wydarzeniach kulturalnych, zbudowało między nimi silne więzi duchowe. Po śmierci Antoniego powstał właśnie „tomik żałobny", w którym z bólem i tęsknotą opisywała ten cios, wskazując wartość emocjonalną zaistniałej między nimi miłości.

W najnowszy tomiku widać natomiast zdecydowane przewartościowanie tego uczucia, ale i jego idealizację, dzięki czemu staje się ona „bardziej wartościowa", bo nie podlega choćby przez pewien czas przemijaniu, a owocuje wyrafinowaną twórczością literacką. W wierszu bez tytułu dowiadujemy się zatem: *nagle wszystko posmutniało / w tafli lustra zatopiony Twój obraz / z wyraźnym spojrzeniem oczu / które nieustannie mnie obserwują / motyle w moim brzuchu znieruchomiały / wszystko nabrało szarości i przemijalności*.

Jednak wspomnienia i tęsknoty nie pozostają bezczynne i pojawiają się znienacka: *każdego wieczoru / rozbierasz mnie z marzeń / jeszcze tylko kilka nocy i będę naga / otul mnie wspomnieniami / niech krew zacznie krążyć w moich żyłach / jak dawniej / za oknem jesień / w pokoju zimno / noc / bez Ciebie / bez gwiazd / bez zegara / bez sensu / i tak / co wieczór* – konstatuje poetka.

Autorka stara się zatem wyrzucić z siebie te bolesne doświadczenia i nadać im nowe życie, by ocalić je od zapomnienia. Powoli godzi się i rozumie, że właściwie każdy człowiek jest śmiertelny, a z latami coraz szybciej odchodzą znajomi, przyjaciele, członkowie rodziny na ów „wieczny odpoczynek" i trzeba się z tym jakoś pogodzić. W wierszu pt. „zdążyć ze wszystkim" poetka uświadamia sobie logik życia codziennego, ale i konsekwencje nadchodzącej starości, pisząc: *wielu już odeszło / brakuje czasu na zdrowaśki / za ich dusze / wydłuża się kolejka oczekujących / zaczynam gubić ich adresy / coraz więcej wydaję na znicze.*

Zastanawia się nawet nad istotą czasu, jego upływanie, by tak oto go uchwycić w wierszu pt. „czas": *ubrał jej dom / w siwe firanki lat / wiatr zadomowił się / w dziurach pamięci / myszy harcują / po pustych pokojach wyjadając / resztki wspomnień / w niedomkniętych drzwiach / smuga srebrnego światła / zaprasza / tam...*

Poetka, która właściwie oddycha i żywi się poezją, próbuje ją jakoś opisać i pokazać jej życiowy sens w wierszu bez tytuł, gdzie czytamy: *poezja jak pory roku / zielona jak wiosna / gorąca jak lato / z czasem nabiera jesiennych barw / tylko zimą mrozi krew w żyłach / zastygając w sople metafor / odwilż w sercu poety znaczy / dobry wiersz.*

I faktycznie autorka sama hołduje tej zasadzie, bo każdy jej wiersz jest formalnie dopracowany, a jego zawartość treściowa i emocjonalna współgrają ze sobą oraz otwierają czytelnikowi oczy i uszy na świat, ale i duszę.

prof. Ignacy S. Fiut

Danuta Perier-Berska, „Wychodzenie z raju". Redakcja: Beata Anna Symołon. Wydawca: Oddział Krakowski Związku Literatów Polskich, Biblioteka Krakowskiego Oddziału ZLP, 21., Kraków 2019, s. 68.

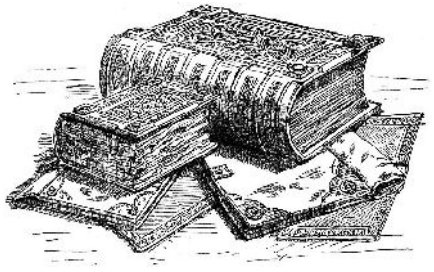

Zamyślenia

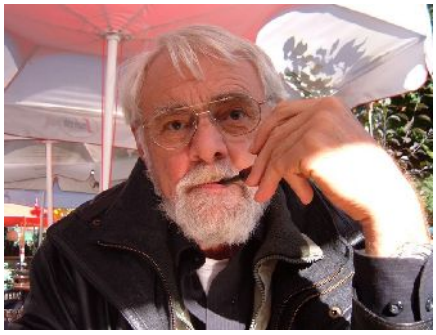

Fot. Andrzej Dębkowski

Licha ściana marzeń

Często okazuje się, że nasze marzenia stają się najkosztowniejszymi ze złudzeń i to w sposób okrutny. W ogóle wszystkie marzenia to pewnego rodzaju twórczość obrazkowa, gdzie smak życia objawia nam się w momentach nieprzewidzianych. Pani Urszula Fabrowicz lecąc samolotem do Nowego Jorku, gdzie oczekiwał na nią mąż stęskniony długą rozłąką, wyobrażała sobie to ich spotkanie wprost w tęczowych kolorach. Oto w myślach widziała już wielkie, błyszczące „cabrio" czekające na nią na parkingu lotniska, nade wszystko zaś widziała ich amerykański dom z prowadzącą do niego żwirową alejką, ocienioną egzotycznymi krzewami, szerokie, liliowe schody, wielkie drzwi szeroko otwarte na jej powitanie. Cóż, każdy musi osobiście sprawdzić realność własnych marzeń i dobrze jest, kiedy łączy się je umiejętnie z odrobiną realności, czego ona niestety nie potrafiła. Dziś, po wielu latach śmieje się z samej siebie, mówiąc *z* odrobiną kpiny w głosie: „nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło". Jej dobry znajomy z „Gazety Żywieckiej", autor zresztą kilku uroczych książeczek pisanych gwarą żywieckich górali – Władek Bułka-Michałcyn, jakby do niej właśnie kierował swoje powiedzenia w gwarze góralskiej: „Ni ma złego, co by na dobre nie wysło". I dalej: „Nie kwol słońca przed zachodym. Spiechoj się pomału, a cudny kraj kwol, a do swego uciekoj"...

To mąż dokonał za nią nieznanego wyboru i w listach lub też w rozmowach telefonicznych, nigdy nie roztaczał przed nią świetlanych obrazów w przeciwieństwie może do innych mężów, których doskonałość w tej mierze, a więc w kłamstwie, mogła wprost imponować. W ogóle emigracje to eksperyment o nieujawnionym do końca rezultacie, lecz do takiego wniosku dochodzi się dopiero po latach. Czy rozczarowała się, widząc stary gruchot, którym przyjechał po nią mąż? Nie. Natychmiast usprawiedliwiła ten fakt przed sobą samą i nawet roześmiała się wtedy na cały głos. Niepewność podnieca. Pozostał jej przecież jeszcze ten wymarzony dom, jego wyniosła fasada, schody, alejka ocieniona krzewami i to dało wówczas jej myślom autentyczne zajęcie.

Mówiła całą drogę od lotniska, paplała i nie było to wcale godne uwagi, a on słuchał. Twarz miał bladą, wymizerowaną, jak to mąż na długim, samotnym „popasie". Czy w ogóle mężowie po tylu latach małżeństwa mogą istnieć gdzieś bez nas, kobiet?

Jechali autostradą i świat wyglądał zupełnie inaczej z każdym przejechanym kilometrem. On mówił: z każdą milą. I już ten fakt powinien wprowadzić ją na powrót w świat jej marzeń. Człowiek powinien nauczyć się sztuki lepszego kreowania swoimi marzeniami, w szczególności zaś nauczyć się kierowania własnych myśli w kierunku bardziej łatwym do przewidzenia. Jednego była pewna, że w odniesieniu do ludzkich marzeń – czas zmarnowany nie istnieje. Wiedziała, że w Nowym Jorku jest spora grupa Polaków zamieszkujących ongiś Beskid Żywiecki, a więc jechała jakby do swoich. Przypomniał jej się jeden z dowcipów Władka Bułki z książeczki zatytułowanej „Bójki starego bacy": „Wojtek Mikosek, widzialny gazda dostoł list z Hameryki łod swojigo brata Jónka. Napisoł mu, ze zanimóg, jest strasecnie chory, ze łoślyp, nie widzi na łocy. Łon to rajił imi, zeby sprzedoł cały majóntek jaki mo i pojochoł do Hnmeryki, gdzie bydzie się nim opiekowoł i ze jim razym bydzie fajnie. Prowie ze się zdecydowoł, ze pojidzio. Poseł więc na milicyjom do tego pana łod paśportów ji godo mu po co przyseł. Kapiton, tyn łod paśportów go wysłuchoł ji tak mu raji: Słuchejcie gazdo, dyć wos znom, skodn wos cobyście tam jechali. Nojlepij mu napiście, zeby majóntek sprzedoł i łun do was psijechoł. Państwo na tym zysko ji wy tyz, te dulary zostanom u nos. No niby dobrze, pan kapiton mi rajom, godo gazda, ale mój brat nie łogupioł jeno łoślyp...".

Cóż, zawsze może być jeszcze gorzej niż jest. I tak było. Zajechali przed jakiś wielki, czynszowy dom, którego stan elewacji i w ogóle otoczenie mogły z powodzeniem stanowić atrapę do realizacji jakiegoś filmu o tematyce gangsterskiej. Rusztowanie otaczające jej marzenia w tej chwili właśnie runęło. Wyraźnie słyszała trzask w głowie. Wiedziała coś na temat nieładu świata, ale dotąd myślenie w tym względzie nie było całkowicie i w pełni wyobrażalne. Jakże łatwiej buduje się piękno niż brzydotę we własnych myślach. Schody owszem były, ale wąskie, szare, brudne i straszliwie strome. Na ich szczycie stał jakiś człowieczek o nieokreślonej posturze, jak się później okazało gospodarz. Poprowadził ją w głąb czarnej czeluści zalatującej stęchlizną i gotowaną kapustą. Pomyślała, stawiając ostrożnie kroki, że kłamstwa innych mężów były logiczniejsze niż wszelkie inne prawdy. Z pewnością te ich kłamstwa wynikały ze wątpienia w atrakcyjność prawdy i natychmiast ich rozgrzeszyła. I oczywiście znów wybuchła śmiechem. Jej myśli były krótkie i niejasne, kiedy weszli do ciemnego, długiego jak kiszka pokoju, w którym stało kilkanaście żelaznych pryczy. Czy naprawdę o coś jej chodziło w tych swoich wyobrażeniach? „Cudzy kraj kwol, a do swego uciekoj...".

Było, minęło. Nie uciekła. Wie jedynie, że nie należy przedwcześnie reklamować swoich marzeń, tych małych również, albowiem każde z nich może się zmienić w swe przeciwieństwo. Nie załamała też rąk trudną sytuacją męża. Dziś Fabrowiczowie mieszkają we własnym domku Elmont N.Y. razem z synem. Córka, która robiła specjalizację w Niemczech jako lekarz, pozostała już tam na stałe. Twierdzi, że jej matka zbyt długo żyła jedną myślą; wspaniała Ameryka, a bywa to niehigieniczne i czasami tak właśnie się dzieje, że ów zarazek buduje w naszej psychice owe przerysowane i zupełnie nierealistyczne makiety. Tymi sprawami zajmuje się także medycyna. Ale jest to choroba niegroźna i szybko przemija. A prawdę mówiąc i pisząc, całą tę rozmowę z panią Ulą zacząłem zupełnie od czegoś innego. Otóż przebywając w Niemczech na urlopie u córki Barbary w Heiligenhafen, pewnego dnia przeglądnęła stos emigracyjnych, polskojęzycznych czasopism, w tym moje archiwalne numery „Dziennika Polskiego". Zrodziła się wówczas myśl, aby zainteresować Czytelników „DP" sprawą, która leży kamieniem na jej sercu. Otóż wojenne losy rzuciły ojca pani Urszuli do Anglii. Potem nastąpił czas, kiedy nawet Polski Czerwony Krzyż nie mógł zbyt wiele zdziałać, za sprawą wyrastającej „żelaznej kurtyny". Takich rozdzielonych rodzin było tysiące, setki tysięcy.

Na początku roku 1979 nadeszła wiadomość z Anglii o śmierci ojca, co miało miejsce 3 kwietnia 1979 roku. Wiadomość przesłała w liście pani Bronisława Szepler zamieszkała w Leeds 8 (23 Airlie Place), której mąż utrzymywał kontakt ze zmarłym Antonim Kalickim. Według treści listu, zmarły przez okres ostatnich 12 lat, „żył i mieszkał z Angielką". Tyle wynikało z krótkiego listu.

Samotne, opuszczone mogiły są dowodem duchowego ubóstwa społeczeństwa. Zapewne jest ktoś, kto opiekuje się grobem śp. Antoniego Kalickiego w Leeds, a może gdzieś indziej. Ile takich grobów poszukiwanych przez rodziny mieści ta ziemia? Stąd usilna prośba, gdyby ktoś z Czytelników, właśnie za sprawą tego artykułu, wiedział o losach tułaczych Antoniego Kalickiego, proszony jest o kontakt z „Dziennikiem Polskim".

Kazimierz Ivosse

Rys. Barbara Medajska

Kozetka (53)

Pisane na kolanie. Opowieści z kwiaciarni

Oh, if i'd followed people's advice,
it would have been hopeless.

Georgia O' Keeffe

Joanna Friedrich

– Biała, czy czarna?
– Białe, czy czerwone?
– Blondyn, czy brunet?

Nasze życie jest wypełnione wyborami po brzegi. Co prawda, indyjskie prawa duchowe prawią, że jest dokładnie odwrotnie, ale – umówmy się – kogo nie kusiło, żeby sprawdzić, gdzie się zaczyna przypadek, a gdzie – przeznaczenie.

A jeśli nie, to i tak, na tyle znamy siebie, na ile nas sprawdzono i zawsze możemy liczyć na Innych.

Najwięcej uczę się od dzieci, syn mój podsunął mi słówko z angielskiego „enablers" – w tym języku to są właśnie ci inni, pod wpływem których zachowujemy się tak, a nie inaczej.

Jedynym ratunkiem pozostaje słówko fińskie: kalsarikännit, które oznacza picie alkoholu siedząc w domu w samej bieliźnie bez zamiaru wychodzenia gdziekolwiek.

Lubię wybiegać w przyszłość bardziej, niż w przeszłość. Czasem nawet daleko. Ekspresowy dwuweekendowy odpoczynek skusił mnie przebłyskiem geniuszu, aby listę rzeczy do zrobienia do końca roku tylko przedefiniować w nagłówku na postanowienia noworoczne. W ten sposób odzyskałam trochę cennego czasu na pisanie na kolanie i inne zabawy domowo-biurowe. Biurkowo-szufladkowe.

Grudnik zaraz zakwitnie, jak co roku, jak nie ten, to inny i jest to jedna ze stałych w przewrotnej naturze mojej egzystencji.

– Mam twój obraz w głowie, może się „nie pokrywa" z rzeczywistością, ale nic to... lubię mieć ciebie taką z moich iluzji, nonszalancką, pewną siebie, świadomą swojej kobiecości, bezczelnie inteligentną...

– Dziękuję, odchwaszczam właśnie inteligencję. (Bo z kwiatków został mi tylko grudnik i róże w wazonie).

Moją ulubioną kwiaciarnię prowadzą dwie siostry, krótkowłosa brunetka i długowłosa blondynka. Uwielbiam kwiaty i ich opowieści. Jeden z projektów na 2020 rok, to pisanie na kolanie opowieści z kwiaciarni.

Brunetka mówi, że ostatnio faceci szaleją z kwiatami na przeprosiny, jakiś wysyp, i, że o związek trzeba dbać. Na koniec języka ciśnie mi się porównanie do podlewania kwiatka.

Blondynka mówi, że mają klientkę, która zawsze kupuje różę, aż nie zwiędnie, i, zaraz potem następną, świeżą. Że kwiaty towarzyszą ludziom przez całe życie – od narodzin – aż do śmierci, a nawet po niej, i, że gdyby mogły, opowiedziałyby własne historie.

W związku z wiekiem, moja krótkowzroczność się cofa na rzecz dalekowzroczności. Mentalnie też zaczynam dostrzegać zarówno awers, jak i rewers bieżących sytuacji.

Artyści i geniusze mają tak od urodzenia, np. Georgia O'Keeffe. Umiała opowiedzieć kwiatowe historie, jak nikt inny. Przeciągała je przez ucho igielne ludzkiej percepcji.

Jej życie w Nowym Meksyku to bajka sama w sobie.

A Ty? Co masz w sobie?

Ta kolekcja ma w sobie tyle, że przesunęłam na potem aktualne plany, żeby tylko popatrzeć na nią jeszcze raz.

Benedykt Kozieł

Każdym słowem

Już tak rozbity
porozrywany
ten nasz świat

na
kawałki
kolory
rozstawione łóżka

na wszelkie możliwe sposoby

cóż mogę robić
zanim
zdradzi mnie odwaga
i pochłonie śmieszność

sklejam go
w każdym możliwym miejscu
każdym słowem

Listopad

Idę listopadem

w gasnących kolorach
tablice pamięci

szeleści czas

płoną światy
wspomnień i nadziei

Moja dewocja

Na półkach mojego świata
oprócz książek
stoją
oprawione w ramki
wyjęte z gazet
otrzymane lub kupione
moje święte obrazki

często zerkam na nie
przez własne życie

u moich świętych
wypatruję twarzy
sugestii spojrzenia

szukam
właściwego światła
by zrozumieć

Listy do Pani A. (137)

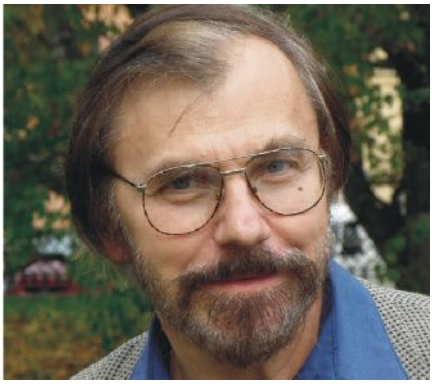

„Ma granice Nieskończony”

Droga Pani!

Jedną z większych imprez literackich, o czym niejednokrotnie Pani wspominałem, jest Festiwal Poezji Słowiańskiej, który odbył się już po raz dwunasty. Z tej okazji Aleksander Nawrocki wydał specjalny numer „Poezji Dzisiaj”. Dużo tam wierszy, w tym Ani Musz i moje. Jak zwykle, było odświętnie. A więc inauguracyjne spotkanie z poetami zagranicznymi w warszawskim Domu Polonii: prezentacje, minirecitale a przede wszystkim osobiste przyjacielskie spotkania. Od lat biorę udział w tej uroczystości zaczynającą w jesienne poniedziałki po południu. Tym razem był to poniedziałek 21 października. We wtorek zwykle jest inauguracja, w której biorą udział polscy poeci, co łączy się z prezentacją ich utworów.

Zgromadziliśmy się w auli Domu Literatury. Dosyć długo trwa ta część imprezy, ale szczęśliwie są tam w miarę wygodne krzesła. Można wytrzymać na nich półtorej godziny, Dopiero potem ogon zaczyna odpadać. W każdym razie im dłużej się na nich siedzi, tym większa jest później przyjemność wstawania...

Miałem nadzieję, że Pani wraz ze mną podzielała te cierpienia i rozkosze, zwłaszcza do momentu, kiedy wybrzmiał mój wiersz w interpretacji Aleksandra Nawrockiego. Aleksander – znakomity poeta, świetny tłumacz – któż mógłby zrobić to lepiej. Byłem przekonany, że Pani jest na sali, ukryta wśród publiczności.

Tym razem wszystko nie trwało nadmiernie długo, ponieważ Aleksander Nawrocki stosuje metodę: nieobecni nie są prezentowani. I konsekwentnie tej zasady przestrzega. Ma to dobre strony, bo program się skraca. Poza tym uczy pewnej dyscypliny, której bardzo często poetom brakuje.

W ogóle twórcy to osobliwa nacja, nikogo nie wyłączając. Uczulona na swoim punkcie. Poeta przyjeżdża na festiwal, bo wie, że otrzyma nagrodę. Tymczasem otrzymuje, ale nie tę, na którą liczył, bo przypadła ona innemu. Więc choruje z wściekłości, bo przecież on taki wieszcz, i jemu się tylko należy. Inny nie dostał wcale i wygląda jak flaszka naparu z piołunu. Trzeba potem posłuchać rozmów kuluarowych. Dobrze więc, że Pani nie było w pobliżu tej całej parady fałszu i zawiści.

Po obiedzie starym zwyczajem poszliśmy z Sebastianem Popowskim na piwo, aby to wszystko odreagować. Poznałem go już dawno, przy okazji jakiejś uroczystości organizowanej przez Aleksandra Nawrockiego. Sebastian jest jego dawnym uczniem. I tak jakoś przypadliśmy sobie do gustu. Mamy wiele wspólnych tematów, bardzo zbliżone spojrzenie na rzeczywistość, zainteresowania; poza tym łączy nas podobna kondycja środowiskowa. Często rozmawiamy o naszych rodzinach, o Polskim Towarzystwie Ziemiańskim. Piwo nas rozwesela, wprowadza w świetny nastrój, czujemy się wtedy znakomicie i tak jakoś „po staropolsku”. Dzisiejszy świat staje się mniej agresywny, sympatyczniejszy, pod koniec spotkania wręcz idealny... Zwłaszcza kiedy tematem naszych pogwarek stają się panny. Te „niedzisiejsze”, ale przecież współczesne, żyjące tu i teraz w rodzinach z głębokimi tradycjami.

Kiedy Pani przeczyta powyższy akapit, pomyśli sobie: „gdzie ci stary dziadu do tych panien. Tobie co najwyżej weteranka Powstania Styczniowego!”. To prawda, wtedy był inny świat, w którym z pewnością bym się odnalazł, niekoniecznie zresztą gerontofilnie. Zatem spalmy metryki!

Nie narzekajmy też zbytnio na życie literackie. Właśnie ukazał się „Kwartalnik Świętokrzyski”, pismo literacko-kulturalne redagowane i wydawane przez Stanisława Nyczaja. Oczywiście kwartalnik ten nie ogranicza się wyłącznie do wydarzeń regionalnych. Liczy grubo ponad sto stron i odnotowuje wydarzenia literackie mające miejsce w całym kraju. Jest ono też pewnego rodzaju forum dyskusyjnym, miejscem sporów literackich, a jednocześnie informuje o ważnych literackich i kulturalnych sprawach. To bardzo ważne, zwłaszcza obecnie, kiedy zostaliśmy pozbawieni obiegu tego rodzaju prasy. Tak więc „Kwartalnik”, jako jedno z nielicznych tak dużych pism literacko-kulturalnych w Polsce, stymuluje ruch intelektualny, pełni rolę informacyjną i edukacyjną. Zresztą dość powiedzieć, że jest periodykiem bardzo ciekawym i pożytecznym. Obok wydań papierowych jest obecny w internecie, a więc ma możliwość dotarcia do najdalszych zakątków w kraju i za granicą.

Tymczasem na każdym kroku otacza nas kicz, co zapewne i Panią drażni. Jeszcze do Bożego Narodzenia było trochę czasu, a tu już po Wszystkich Świętych pojawiają się w sklepach, a zwłaszcza w dużych marketach kiczowate „dekoracje” świąteczne, lampki, katarynkowe melodyjki na wzór amerykańskich, mikołaje, choinki z plastiku, zajączki z czekolady, zwierzątka, wśród nich jelenie, które zapewne oznaczają pomysłodawców i autorów tych wiekopomnych ozdób (a raczej, za przeproszeniem Pani, ozdup). I tak rok rocznie jesteśmy świadkami infantylizacji i komercjalizacji wielkich Świąt. To samo zresztą dotyczy i Wielkanocy, kiedy głównymi rekwizytami są wyłącznie jaja, bazie, baranki i barany!

To wszystko jest może potrzebne, tworzy pewien klimat. Ale tu zostały zachwiane proporcje. W powodzi kiczu zagubiła się głęboka, metafizyczna treść tych Świąt, które miały i mają nadal znaczenie dla ludzkości; pełnych egzystencjalnych symboli, wyjaśniających sens ludzkiego życia; sens radości, a nawet cierpienia, zupełnie dla nas niezrozumiałego i nielogicznego. Kolędy również niczego już nie przybliżają, mają dla współczesnego człowieka wyłącznie charakter folklorystyczny. Może poza jedną kolędą, a właściwie wierszem Franciszka Karpińskiego, „Bóg się rodzi”. Mamy tam jakże genialną, aktualną, w zasadzie niewyczerpaną interpretacyjnie metaforę: „ogień krzepnie, blask ciemnieje, ma granice Nieskończony. To właściwie niezwykle skondensowany traktat o Wcieleniu.

Chciałbym w tym miejscu polecić Pani wywiad-rzekę przeprowadzony przez redaktora „Więzi” Damiana Jankowskiego z Wacławem Oszajcą, poetą i jezuitą. Rzecz, nie waham się powiedzieć, rewelacyjna. To zupełnie inne spojrzenie na zagadnienia metafizyczne, relacje międzyludzkie, na Kościół. Oszajca świetnie wyczuwa nowe czasy i nowy język, oczyszczony z kulturowych wyobrażeń i naleciałości. Wiem od ludzi, którzy w zasadzie byli obojętni religijnie, że to, o czym mówi Wacław głęboko ich zastanawia. Jest to bardzo szczera i niezależna rozmowa, daleka od indoktrynacji czy prozelityzmu. Lektura, zwłaszcza dla poety (i nie tylko) wspaniała. W każdym razie jestem tym wywiadem zachwycony. Trudno mówić do współczesnego człowieka językiem sprzed kilkuset lat, przekonywać go do religijnego sztafażu i tradycyjnych mitów i hierarchii, pomijając właściwą istotę chrześcijaństwa, jak to na ogół dzieje się w kościelnej retoryce. Z drugiej strony w społeczeństwach, zwłaszcza w polskim, silnie zakorzenione są archaiczne pojęcia, anachroniczne przekonania. Poza tym pokutuje przeświadczenie, że w sprawach wiary, zbawienia, praktyk religijnych wszystko jest definitywnie ustalone poza wszelką dyskusją. Tymczasem Wacław Oszajca otwiera szerokie pole dla rozważań intelektualnych, dla ufności i nadziei; dla odważnego i samodzielnego interpretowania świata i życia. Wkracza on poza zewnętrzną otoczkę, poza hieratyczne gesty, potoczne znaczenia. Bardzo Pani tę książkę polecam. Sam zobaczyłem w niej drogowskaz do wolności.

Ponadto Wacław jest znakomitym poetą, i właśnie dzięki wrażliwości na słowo, ukryte w nim znaczenia, dociera do sedna, do tego, co niepoznawalne.

Życzę Pani wielu wrażeń i refleksji, nadziei płynącej z wiekopomnego Wydarzenia, do którego warto wracać nie tylko w supermarketach –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania

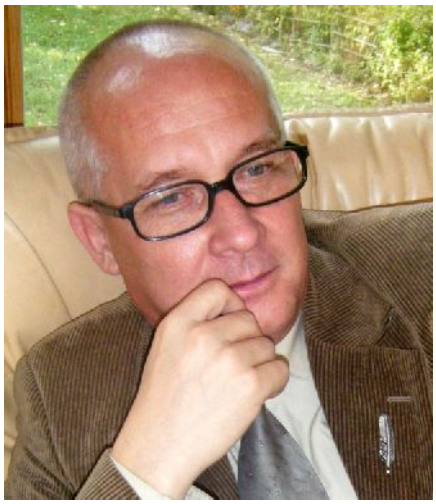

Po co komu kultura?

Czym jest kultura i historia dla każdego narodu wiedzą to te kraje, które traciły swoją narodową tożsamość. Polska w ciągu swojej ponad tysiącletniej historii wielokrotnie odczuwała te bolesne upokorzenia. Czy te historyczne doświadczenia polskiego narodu wpłynęły na jego scementowanie i umocnienie, które pozwolą sprostać wszystkim wyzwaniom cywilizacyjnym nowego tysiąclecia i to w taki sposób, byśmy mogli uczciwie powiedzieć, że wreszcie zajmujemy w świecie stosowne dla nas miejsce? Osobiście wątpię. Ostatnie przykłady świadczą o czymś zupełnie innym, wciąż nie możemy sobie poradzić z naszą historią i kulturą, a czasami przeszkadzają nam one w sposób niebywały...

Andrzej Dębkowski

Kończy się druga dekada XXI wieku. Polsce potrzebna jest wizja państwa, które sprosta wyzwaniom naszych czasów. Można by powiedzieć, że potrzebny jest program wielkiego celu. Ale czegoś takiego nigdy nie było i ciągle nie ma. Wszystkie dotychczasowe rządy wielokrotnie powtarzały, że nie uchylają się od wzięcia odpowiedzialności za kraj. Inicjowano wiele reform społecznych, modernizowano wiele branż polskiej gospodarki. Pozwalało to stopniowo zmieniać kształt i funkcjonowanie państwa polskiego po przemianach 1989 roku. Byliśmy przekonani, że konsekwentne kontynuowanie tych procesów pozwoli zbudować pomyślność naszego kraju, naszych rodzin i wspólnot lokalnych. Rzeczywistość dowiodła jednak zupełnie czegoś innego. Okazało się, że gruntowne przebudowanie państwa (patrz: społeczeństwa) nie jest możliwe w tak krótkim czasie.

Co jest tego przyczyną? Polska w minionych dziesięcioleciach pozostawała na marginesie gwałtownych przemian cywilizacyjnych, które były udziałem całego zachodniego świata. Z jednej strony fakt ten pozwolił nam na uchronienie przed zniszczeniem wielu instytucji i wartości, z drugiej jednak strony, nasz kraj nie uczestnicząc w tych procesach nie został do nich należycie przygotowany. Obecnie liczne zmiany przebiegają w sposób żywiołowy, nieplanowany i niezwykle upolityczniony, powodując liczne napięcia w funkcjonowaniu państwa. Zaliczyć do nich możemy globalizację procesów politycznych, gospodarczych, a przede wszystkim kulturalnych. Zmiany na rynku pracy powodują spadek znaczenia wielu grup zawodowych. Społeczeństwo polskie oszołomione rewolucją informatyczną i brakiem społecznej roli edukacji, doznało swoistego rozdwojenia jaźni. Zapanował powszechny strach, że ludzie nie poradzą sobie z nowymi wartościami. W międzyczasie nastąpiło zmniejszanie się tradycyjnych źródeł rozwoju, takich jak zasoby naturalne i kapitałowe, ale nie na rzecz kulturalnych, cywilizacyjnych i technologicznych walorów społeczności lokalnych. Kryzys rodziny charakteryzujący się wieloma patologicznymi zjawiskami, braki w wychowaniu rodzinnym młodego pokolenia i zrywanie więzi międzypokoleniowych, czy niekorzystne tendencje demograficzne czynniki te jeszcze bardziej pogłębiły. Jednak chyba najwięcej szkody przynosi tzw. rozdawnictwo czyli pozorna pomoc państwa (czytaj: rządu) w obdarowywaniu ludności różnymi prezentami finansowymi. Państwo polskie musi stawić czoła tym wyzwaniom. Ale jak to zrobić, kiedy przeprowadzane reformy nie przeciwdziałają i nie ograniczają niekorzystnych społecznie tendencji?

Organizowanie życia społecznego poprzez drobiazgowe regulowanie wszystkich sfer aktywności ludzkiej nie da pożądanego efektu. Potrzebne są zmiany systemu prawnego w taki sposób, by nie ograniczał on społeczeństwa w realizacji jego podstawowych funkcji, jednocześnie chroniąc prawa naturalne – prawo do wolności, własności, w tym tego najważniejszego – indywidualnego. Dużą rolę mają do odegrania sami obywatele skupieni w stowarzyszeniach, kościołach, związkach wyznaniowych, wspólnotach lokalnych i regionalnych. Koniecznym wydaje się oddanie samorządom CAŁOŚCI spraw z zakresu polityki regionalnej. Pozwoli to uniknąć im roli klienta biurokracji centralnej. Administracja państwowa w terenie powinna ograniczać się jedynie do funkcji kontrolnych i nadzoru prawnego oraz utrzymania bezpieczeństwa obywateli. Naród, który chce istnieć i harmonijnie się rozwijać musi być ufundowany na wartościach akceptowanych przez wszystkich członków wspólnoty. Musi on wyrastać ze wspólnie przeżywanej historii i wspólnej dla wszystkich tradycji. Państwo nie może zezwalać na to, by jakakolwiek część rodaków czuła się wykluczona poza nawias procesów społecznych.

Czynnikami konstytuującymi wspólnotę narodową jest kultura i dziedzictwo narodowe. To kultura tworzy język pozwalający na porozumienie się w obrębie wspólnoty. Dlatego też należy traktować kulturę jako integralny element racji stanu państwa, a polskie dziedzictwo narodowe jako swój naturalny obowiązek. Ale jak ma to nastąpić skoro premier prawie 40-milionowego narodu w kolejnym swoim *exposé* nawet nie wspomina, że istnieje coś takiego jak kultura.

Sfera zainteresowania państwa nie powinna ograniczać się wyłącznie do zapewnienia korzyści ekonomicznych swym obywatelom, ale obejmować wszystkie dziedziny związane z dobrem wspólnym całego narodu. W tym niezbywalny obowiązek prowadzenia polityki kulturalnej. Nie oznacza to jednak nadmiernego interwencjonizmu państwa w sferę kultury. Zgodnie z zasadą pomocniczości, jak najwięcej zadań w dziedzinie polityki kulturalnej powinno być wykonywanych na jak najniższym szczeblu. Rozwojowi kultury sprzyjać będzie wtedy coraz większy udział w jej finansowaniu mecenasów prywatnych. Jednak rola państwa nie może ograniczać się tylko do stwarzania warunków prawnych, sprzyjających inwestycjom w przedsięwzięcia kulturalne, między innymi poprzez system ulg podatkowych. Zachowana musi pozostać tendencja przekazywania przez państwo zadań związanych z polityką kulturalną na szczebel regionalny i lokalny. Wspieranie instytucji kulturalnych na swoim terenie leży w żywotnym interesie poszczególnych wspólnot samorządowych. Wraz z przekazaniem samorządowi obowiązków i uprawnień, państwo musi zapewnić możliwość odpowiedniego finansowania tej działalności i nie może to odbywać się w zależności od tego, kto akurat jest przy władzy i czy lubi np. czytać książki. Państwo musi zachować narzędzia prowadzenia polityki kulturalnej. Chodzi w pierwszym rzędzie o nadzór nad mającymi ogólnonarodowe znaczenie Narodowymi Instytucjami Kultury oraz o możliwość wspierania programów o szczególnym znaczeniu dla kształtowania się wspólnoty obywatelskiej. Mecenat państwowy musi być oparty na przejrzystych kryteriach, a nie służyć jedynie do zaspokajania doraźnych grup wpływów, głównie partyjnych. Będzie to możliwe dzięki opracowaniu i realizacji konkretnych programów celowych, które staną się praktycznym narzędziem polityki kulturalnej rządów. Zakres uprawnień i obowiązków państwa w zakresie polityki kulturalnej powinien zostać ograniczony do jasno określonych dziedzin, w których zapewniony zostałby odpowiedni do potrzeb poziom finansowania z budżetu. Jeśli uznamy fundamentalną rolę kultury w kształtowaniu i umacnianiu się wspólnoty obywatelskiej, to okaże się, że rodzima kultura i historia są znakomitymi instrumentami do kreowania wizerunku Polski na arenie międzynarodowej. Podkreślanie takich elementów jak dorobek polskich twórców kultury, wkład Polski w tożsamość cywilizacji europejskiej, udział naszego Narodu w kształtowaniu historii Europy może wspomóc wypromowanie spójnego i atrakcyjnego wizerunku naszego kraju. Jednak promocja polskiej kultury i dziedzictwa narodowego nie może ograniczać się tylko i wyłącznie do głoszenia własnych poglądów i próby zarażania tym innych, uznając przy tym, że kto nie z nami – przeciw nam.

Na władzach państwowych spoczywa więc obowiązek pilnowania, by nie rodziły się pomysły niezgodne z Konstytucją RP. To akurat może być najtrudniejsze, bo Konstytucja jest łamana niemal na każdym kroku. Przecież wiadomo, że niektóre środowiska nie z szacunkiem odnoszą się do zamieszkujących w naszym kraju mniejszości narodowych, które mają pełne prawo do podtrzymywania swojej tożsamości oraz kultywowania tradycji. Państwo nie może ograniczać ich dążeń do kreowania własnych instytucji społecznych, kulturalnych i oświatowych.

Kultura, obok gospodarki i bezpieczeństwa, to „trzeci filar" w funkcjonowaniu państwa. W dobie globalizacji polityka kulturalna państwa staje się dobrym nośnikiem wartości kulturowych – sprzyja dialogowi państw, społeczeństw i narodów, umożliwiając poznawanie i przyswajanie wartości oraz dokonań innych, a także promowanie własnego dorobku na arenie międzynarodowej. Ma to szczególne znaczenie obecnie, gdyż nazbyt często nasz kraj postrzegany jest w świecie przez pryzmat historycznych i kulturalnych stereotypów.

■

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (45)

(fragmenty)

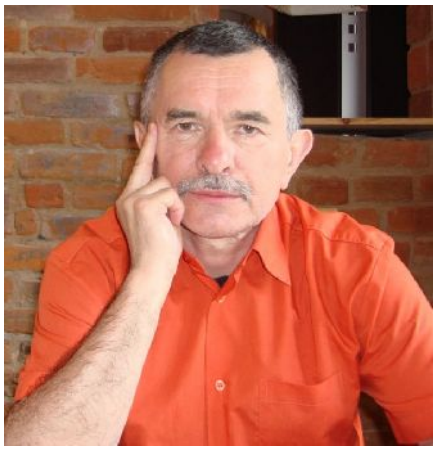

Poniedziałek

Grecy w tym również Kreteńczycy kochają się – interesownie zresztą, bo wielu z nich żyje z turystyki – w mitach i opowieściach fantastyczno-historycznych, bo wiedzą, że łowi się na nie, jak ryby na wędki, turystów. Dimitrios Iliakis, zwalisty, wyglądający na 70 lat mężczyzna, właściciel tego oryginalnego hotelu, w którym pracują też Polacy, opowiada mi, że zdecydował się zainwestować w skaliste, odludne miejsce, bo skusiła go barwna historia.

Rybacy opowiadali mu o piratach, którzy w zatoce skrytej za ciągiem cypli i fiordów mieli swój port i swoją kryjówkę. Mieszkali w grotach i przechowywali tam zrabowane skarby. Najsłynniejszy z nich Barbarossa to postać historyczna sprzed 400 lat. El-Baba-Barbarossa wraz ze swoimi piratami wynajmowany był przez królów i sułtanów (z Turcji, z Egiptu czy z Hiszpanii) do napadów na przepływające statki.

Dimitrios Iliakis poczuł, że to miejsce promieniuje dobrą energią, i zdecydował się w 1981 na budowę hotelu wśród skał i gór. W 1986 w Madrycie, na konkursie zorganizowanym przez ekologów, jego hotel został wysoko oceniony i doceniony, zdobywając I nagrodę ze względu na oryginalne usytuowanie i nienaruszenie naturalnego środowiska. Jak Dimitrios twierdzi, podobnych ośrodków jest tylko parę w Europie: na Sardynii i w północnej Francji.

O ile dawniej młodzi Kreteńczycy wyjeżdżali do Aten w poszukiwaniu chleba, o tyle dziś powracają na ojczystą wyspę. Kreta ma dużą autonomię gospodarczą i lepiej sobie dziś radzi z kryzysem niż reszta Grecji. Większość mieszkańców to właściciele gajów oliwnych. Zajmują się ogrodnictwem, uprawą warzyw, hodowlą owiec. Nie ma na Krecie fabryk, firm, przyroda jest nieskażona, co przyciąga dużo turystów, więc mieszkańcy znajdują tez sezonowe zatrudnienie w hotelarstwie.

Dimitrios Iliakis ma swój przepis na długie życie: przede wszystkim zdrowe jedzenie, dobre wino pite w beztroskiej kompanii, życie w harmonii ze sobą i naturą, dużo ruchu, młode kobiety jako okład na stare kości... Słowem – filozofia Zorby... Tylko przyklasnąć, tym bardziej że moja żona Zosia nie słucha tych kuszących rad.

Czwartek

Kreta bywa również azylem dla wielu dezerterów ze świata cywilizacyjnego komfortu, choć – jak głosi mit – olbrzym Talos, strażnik wyspy, bronił jej zaciekle przed najazdem cudzoziemskich argonautów, miotając wkoło głazami.

Ilu cudzoziemców mieszka współcześnie, wykupując tu ziemię i chroniąc się na wyspie? Statystyki greckie mówią o paru procentach.

Jednym z przybyszów, którzy tu osiedli, jest brat mojego holenderskiego zięcia Hansa... Pięter. Ślepe (czy aby ślepe?) przeznaczenie zagnało go w te góry, gdzie diabeł mówi dobranoc. Wybudował dla siebie i dla swojej obecnej partnerki życiowej Niemki Kay dom na skale wiszącej nad skarpą i morzem. Dojechać tu serpentynami bardzo trudno. Skąd się tu wziął? Parę lat temu Pięter rozszedł się w Holandii z pierwszą żoną i realizując swoje osobliwe marzenia życiowe, przepłynął na jachcie Atlantyk, dobijając do Karaibów. Na jednej z wysepek zamieszkał przez pół roku i tam poznał Kay, która miała widocznie na niego silny wpływ, skoro namówiła go, by razem polecieli na Kretę, bo „tam jest najpiękniej". Zakupili kawałek ziemi z pięknym widokiem na morze i zaczęli wszystko od zera. Pietera jako majstra „złotą rączkę" nie odstraszały trudności i przeciwności. Tyrał z Kay jak wół (przy okazji dodawali sobie kurażu greckim bimbrem raki i mustaki z lodem, bo oboje nie wylewają za kołnierz) i powoli, powoli, po dwu latach harówki dom z malutkim pensjonatem zawieszonym na skale wyrastającej prosto z morza stanął na nogi. Przenieśli się do niego z przyczepy, gdzie było ich tymczasowe przytulisko, otworzyli tawernę w pobliskim, ale oddalonym o 30 km miniaturowym miasteczku. Niestety, ani malutki pensjonat, ani tawerna nie dają im wielkich dochodów. Pięter jeszcze bardziej wychudł, ale na szczęście, czy nieszczęście, nie stracił ochoty do raki i mustaki" z lodem, tak że uśmiech nie schodzi mu z gęby. Kay kocha dwa swoje psy (on mniej) i pomaga Pieterowi – na zmianę – prowadzić tawernę z kilkoma, a czasem, jak bardzo dobrze pójdzie, z kilkunastoma klientami dziennie. Jakoś wiążą koniec z końcem, choć ona w Niemczech i on w Holandii mieliby pewnie wygodniejsze życie. Ta samotnia z pięknym, dzikim krajobrazem daje im jednak obok syzyfowych prac także zapewne dużo („per aspera ad astra"), tylko czasem wydaje się pułapką. Odizolowali się w niej całkowicie od świata, ale nie od nieba, gwiazd i szumiącego im do snu morza. Nie mają telewizora, komputera, telefonu. Kay posiada za to dużą bibliotekę, czym mnie ujęła, z literaturą co prawda niewysokich lotów (głównie romanse, proza fantastyczno-przygodowa), niemniej jej rezygnacja z dobrodziejstw cywilizacji – budzi mój respekt...

A co do pułapek...

Czy komukolwiek z ludzi udaje się ich uniknąć?

Dla jednych bywa pułapką władza (to dotyczy nie tylko polityków), dla innych – zaborcza żona, dla jeszcze innych alkohol, rozpusta, rozkoszny, bezsensowny nałóg gromadzenia dóbr materialnych, filatelistyka, lenistwo, samolubstwo, obżarstwo i tysiąc mniejszych lub większych nałogów. Pułapka łapie cię za nogę, rękę, wciąga całego i jesteś jej!

Czy Kay, córka uniwersyteckiego profesora, nie wpadła w pułapkę swojej romansowej literatury, która ukształtowała jej marzenia?

Czy nie jest ofiarą sentymentalnej pułapki zwanej „pięknym widokiem" na morze i bezkres?

A może ten kawałek jej losu, który mnie wydaje się pułapką, jej dał właśnie największą wolność z możliwych?

...Wycofali się „na tyły świata". Przeciwstawili ideałom i normom kupieckiej cywilizacji, za co płacą słony rachunek...

Sobota

O tym, jak niezbadane i tajemnicze są meandry ludzkich zachowań czy decyzji, wie najlepiej... Sandor Marai, autor tomu opowiadań „Magia". Właśnie na Krecie przyszło mi zachwycić się tą książką. Czytam ją, a właściwie delektuję się, jak przysmakami kreteńskiej kuchni, na leżaku przed bungalowem, to znów podczas odludnych spacerów, przysiadając tu i tam na głazach skalnych. Opowiadania Maraiego są jak muśnięcie ludzkich losów. Opowiadają o zwrotnych chwilach bądź momentach przesilenia w ludzkich istnieniach. O pierwszych poważnych, a czasem ostatecznych rozczarowaniach ludzi po czterdziestce. Autor, pisząc te opowiadania, miał około czterdziestki, co wydawało mu się wówczas „wiekiem podeszłym"; choć potem żył jeszcze prawie pół wieku, by jednak popełnić pod dziewięćdziesiątkę samobójstwo...

Widocznie w każdą naturę ludzką wpisana jest jakaś melodia, nuta ostateczna: radosna, smutna, melancholijna, powtarzająca się jak lejtmotyw. Marai popełnił samobójstwo na starość, ale przeczucie tego, depresyjna nuta pojawiała się i wcześniej...

W jednym z opowiadań, „Brzuchomówca", tytułowy bohater, wraz z lalkami-marionetkami, z którymi pracował, porzuca cyrk, bo okazuje się, że cały nowy świat wypełniony jest „brzuchomówcami" i on nie jest już nikim osobliwym...

„(...) Świat dziwnie zmienił się wokół nas: jakby napełnił się brzuchomówcami, którzy nie mówią zgodnie z własnym pomyślunkiem i uczuciami, lecz na rozkaz jakiegoś niewidzialnego mistrza (...) ludzie w zadziwiający sposób zaczęli się do siebie upodabniać, w strojach, w rozrywkach, w stylu życia i także w sprawach duchowych (...) Wszyscy to samo mówili, co więcej – to samo czuli".

cdn.

Impresje bieszczadzkie

Wiersze w tym tomiku opowiadają o fenomenie ducha i krajobraz Beskidu Sądeckiego ze szczególna uwagą eksponując ślady kultury łemkowskiej, które do dzisiaj można tam spotkać. Podobno wędrując po tych okolicach wiersze można spotkać leżące na ścieżkach, chowające się w zaroślach i lasach, przy cerkiewkach, na starych cmentarzach, a więc lewitują w powietrzu, spadając wraz z liśćmi z drzew. Taką wizje poetyckich inspiracji Bieszczadami roztacza w swych utworach **Jerzy Stanisław Fronczek** w swym tomiku pt. „Łemkowskie niebo. Historia pewnego snu".

Czytając kolejne utwory odnosi się wrażenie, że ten świat poety dzieje się między jawą i snem; że właściwie świat przyrody jest tu stopiony i zjednoczony w nową całość ze światem ducha, którym ten pierwszy oddycha. W utworze pt. „Rzepedź" czytamy: *Z deski ikony / wyrzeźbiłem twarz Boga / – niemą i świętą Ruś // (...) / Pożółkłe cerkwie w Rzepedzi / rdzewieją teraz na deszczu / pośród jesiennej mgły // Tylko porywisty Wisłok / płynie jak dawniej przez knieje / rzucając srebrzyste światło / na święty / drewniany krzyż.*

Nie ma wątpliwości, że poeta postrzega ten świat jako własne domostwo bycia łączące obcowanie z zamieszkującymi tu duchami z nabożeństwem do nich. W Foluszu nocą „cisza jest zielona", a księżyc ma „rybi ogon", zaś na Magurze pali się jeszcze ostatnia watra. Cały ten krajobraz opisywany w wierszach jest nabożny i zanosi się cichą modlitwą. Idąc ścieżką na Magurę można z Madonną zjeść śniadanie – posiłek duchowy „zbliżający do nieba". Wędrując po okolicy Muszyny poeta jakby przechodzi przez cztery pory roku jednocześnie, a następnie pisze wiersz pt. „Wieczór w Muszynie", gdzie odnotowuje: *Księżyc to jaśmin / coraz jaśniejszy. // Na Twojej głowie / wianek królewny. / (...) // Wiatr znad Popradu / przynosi liście. // Łemkowska watra / pali się w snach. // Wieczór w Muszynie, / powraca, gra...*

I tak wędrując bieszczadzkim szlakami Fronczek odwiedza ruiny domów, gospodarstw, cmentarzy, cerkwi, a w wierszu bez tytułu sprawozdaje swe przeżycia: *Czerwone / banie cerkiew / pachną rumiankiem. // W Gładyszowie, / w Bortnem / stare krzyże / zarosły łopianem / i bosy święty / idzie przez wieś / niosąc na plecach / wiersz napisany / na kawałku / liścia.*

Nic dodać, nic ująć, bo ten świat bajeczny zostaje tu przedstawiony i w pełni przeżyty emocjonalnie, a autor się z nim całkowicie jednoczy. Można w tych klimatach duchowych zrozumieć specyfikę i korzenie prawosławia, a przychodzące utwory nierzadko przybierają specyficzną formę utworów haiku-podobnych, by totalnie uchwycić panujące tu przeciwstawne nastroje mentalne. Ten świat opisany przez poetę sytuuje się poza czasem i przestrzenia, i obowiązują w nim kategorie mistyfikujące struktury tej duchowości, stając się wyraźną alternatywą do oficjalnej rzeczywistości.

Fronczek w wierszu zamykającym tomik przypomina fascynacje Łemkowszczyzną Jerzego Harasymowicza, a w utworze „Droga do góry" pisze: *Harasymowicz cerkwie wiezie / na karym koniu przez Bieszczady. / Zmęczone oczy słabiej piszą / na bukach leśne poematy. // (...) Samotność wciąż wypala oczy / i z wiatru robi mu posłanie. / Na karym koniu jesień jedzie. / A on piosenkę śpiewa dla Niej.*

Zresztą – autor właściwie cały tomik zadedykował temu wybitnemu piewcy piękna Bieszczad. Zamieszczone w nim wiersze są jakby reminiscencją poetycką ze szlaków, którymi podążał wcześnie autor ciągle przypominanego utworu – „W górach jest wszystko co kocham". Dlatego warto ten tomik zdobyć i przeczytać, bo we wrzasku współczesnego świata przesyconego obrazami i nad-informacjami, można w światach poetów odpocząć i odzyskać komfort psychiczny oraz równowagę duchową.

prof. Ignacy S. Fiut

Jerzy Stanisław Fronczek, „Łemkowskie niebo. Historia pewnego snu". Wydawnictwo „Eksplorator", Kraków 2018, s. 52.

Rozdrożami (do) modlitwy malowanej trzciną

Odrębność sztuki poetyckiej **Adriany Jarosz** widoczna jest gołym okiem. Wystarczy spojrzeć na kształt jej tomików (kwadraty). Z okładkami jak drzwi baśniowego świata zapraszającego w głąb doznań i wartości estetycznych. Chcą porwać czytelnika w tajemnicze światy poetyckie, pełne oryginalności i świeżego spojrzenia ze spontanicznością zapisu podbudowanego autentycznością przeżyć autorki. Ale żeby to osiągnąć, trzeba fundamentu w zainteresowaniach historią, regionalnym folklorem i folkloryzmem szeroko rozumianym. Podobno wpływ na to miały prof. Teresa Smolińska i prof. Dorota Simonides. Ale to tylko odgrzebanie biblijnych talentów, zakopanych płytko w urodzajnej glebie Śląska Opolskiego, gdzie poetka się urodziła i pobierała edukację. Najpierw w nyskim „Carolinum", potem w murach Uniwersytetu Opolskiego.

To pierwsze wejrzenie w powierzchnię graficzną pcha w głąb zagadnienia do wiersza „Nad Komańczą":

pani Mario nad Komańczą jesień się unosi
a góry opornie tłoczą się w wiersz

Zapisuję więc te swoje przemyślenia na ogromnym, bukowym, rzeźbionym stole. Przez okno w oddali widzę porośnięty wszelakimi chaszczami pas startowy radzikowickiego lotniska. Na nim, kiedyś, lądował samolot z więźniem reżimu Prymasem Stefanem Wyszyńskim. W samochodzie czekano do wieczora, by przewieź skazanego okrężną drogą przez Głuchołazy, do miejsca odosobnienia w prudnickim klasztorze. Ada to miejsce zna. Bywała tam niejednokrotnie. I jakby duchowo kontaktuje się z żoną piewcy Bieszczadów w kolejnym miejscu uwięzienia wielkiego Polaka. Taki dar łączenia historii, wiary i tęsknoty posiada niewielu poetów. Mówi się o nich – naznaczeni.

Boscy śpiewacy przybywają
czasem z odległych okolic.

Poeta wieczny pielgrzym, który samym sformułowaniem pytania potrafi wywabić z rzeczywistości zamierzone odpowiedzi. Nie zagubi drogi – choćby cierniem była usłana – i nie skorzysta ze skrótu, bo taką sobie wybrał, idąc w paradoks i baśniowość. Poezja Ady Jarosz jak opadająca mgła nad połoninami, ukazuje niespodziewane obrazy i dźwięki:

Na mietlicowej łące przysiadł dziad jagodowy.
(...)
Skrył się w trzcinach zdrewniałych
prosięcy kwik wodnika, bo chruściel
płochy jak nimfa błotna.

To przecież śpiew barda opowiadającego historię miejsc mu bliskich. Gdzie przodkowie uprawą roli, pasterstwem, bartnictwem, ciesiołką i karczowaniem lasów, budowali egzystencję pokoleń. Poprzez splot tragicznych okoliczności i zaliczenia do narodowości ukraińskiej (Bojków, Łemków) zniknęli bezpowrotnie z ziemi ojców. A świadectwo bytności na tych terenach zatarł dziki drzewostan, gdzieniegdzie pozostawiając tylko ruiny cerkiewek, zmurszałe krzyże i czeluście studni.

W trawie nieśmiało kwitnie cembrowana studnia,
obok niej bluszcz, swojski dusiciel,
zmysłowo oplata sczerniały pniaczek,
a tuż za nimi schodki piwniczne
z odciśniętym śladem boczkora.
Tu stała łemkowska chyża,
jedna z wielu w tej osadzie.
Mieszkał w niej Semen.
(...)
Tuż za wsią cerkiew niewielka,
niby gospodarz, co po wchodzie dogląda drób
pstrokaty,
wśród krzyży cmentarnych stała.
Dostojna, wiekowa, powszechnym szacunkiem
darzona,
z językiem drogi wydeptanym przez bezimienne
ślady stóp.

Wracają do mnie strzępy rozmów tych przygnanych zza Buga i osiadłych na dzikim zachodzie, i tych wypędzonych za Odrę.

– Młody co ty rozumiesz, ty z centrali!

Utracone Jeruzalem nierozerwalną częścią naszej egzystencji.

(Dokończenie na stronie 18)

Rozdrożami (do) modlitwy malowanej trzciną

(Dokończenie ze strony 17)

zawieszeni na drzewach budujemy domy bez
podstaw

A może zamiarem Ady Jarosz w „Rozdrożach" było odtworzyć wielowiekowe trwanie ludów, żyjących zgodnie na tym niewielkim terenie? Przytacza fakty, daje szczegółowy obraz obyczajów:

W niedzielę pod remizą
wieńce dożynkowe
odmawiały modlitwy dziękczynne
pszenicznym szelestem.

Tego jeszcze nie wiem. Ale powrócę do tej książki jesienią. W czasie szarugi liryki bardziej przemawiają do mnie swoją głębią. Wyłaniający się obraz pozostawia ślad w mojej świadomości. Mogę go przywołać po latach.

Kartkuję po raz wtóry tom *Modlitwy malowane trzciną*. W obszernym posłowiu omawiającym poezję Ady do najdrobniejszego ziarenka maku Magdalena Węgrzynowicz-Plichta napisała: „(...) już od samego początku powstawał jako dzieło w miarę jednorodne z wybranym tytułem dla całości i jako kontynuacja wcześniejszych zainteresowań Poetki. Przekazuje je w najbardziej adekwatnej formie literackiej, która odwzorowując twórczy zamysł, czerpie z tradycji i inwencji (...) uwidoczniało się upodobanie Autorki do narracji, zastosowanej w dłuższych utworach wierszowanych, posiadających fabułę i do pieśni, która stwarzała Poetce możliwość ukazania całego spektrum uwrażliwienia na różnoraki los człowieka i kondycję wszechobecnej przyrody".

na ganku przed domem stół
przy nim ci którym dawno
wygrano requiem – sączą
chrzcielną lub weselną
wódkę i mają twarze
bez wyrazu

Esencją tej poezji jest dom rodzinny z charakterystycznym ciepłem familijnym, nagromadzonym przez pokolenia w latach dobrobytu, ale i nieszczęść, które rodzinę konsolidują. Łzy to najlepsze spoiwo.

toczy się koło młyńskie
miele sny dobre i te
w których łza za łzą

Nie darmo poetka używa rekwizytów: stół, chrzcielna, weselna, dotyk, drzwi, ganek. To ciepło roztacza się na okolicę bliższą i dalszą. Kolejni członkowie rodu opuszczają dom, budując własne gniazda. Taka kolej rzeczy. Rodzą się następne pokolenia i następne w zaczarowanym kręgu trwania, gdzie pory roku wyznaczają rytm pracy i połowicznego odpoczynku – przednówek, zima. Ważne, że Ada wiele miejsca poświęca człowiekowi; zdawałoby się zwykłemu, zapracowanemu, zawsze żyjącemu w zgodzie z przyrodą, która – nawet nie zdajemy sobie sprawy – wyznacza nasz byt. Jestem pod ogromnym wrażeniem znajomości tematu i realiów. Owocowanie to klucz tej poezji, jednakże szeroko rozumiane:

rankiem przy pańskim koszu znajdowaliśmy
kawał słońca pachnącego miodowym bochnem
(...)
Była w niej pogodna wdzięczność
za miękką skórę traw, za tańczące
krople dżdżu, rozchichotane rzekotki,
smutne oczy brodźców łękowych.

Przechodzimy teraz do ewangelicznego początku świata, widzianego poprzez Dyduka lirycznego, bohatera poezji Ady Jarosz. Można podeprzeć się Kabałą.

Prosił o wodę przejrzystą, czystą
niczym galilejskie wino i o ludzką
życzliwość (bez niej sny były szare).

Zdumiał się ikonostasowy poczet,
bo nikt tak się nie modlił.

Rankiem święci zobaczyli świat
taki, jakim był w pierwszym
tygodniu stworzenia.

To głos wewnętrzny poetki; oczyszczający i życiodajny. Wołający do czytelnika o chwilę zastanowienia się nad swoimi korzeniami. Bo w obecnej dobie ogłupiających mediów wielu ludziom wydaje się, że świat istnieje tylko dziś, a przyszłość widzą w monitorze komputera. Kiedy brakuje połączenia z Internetem, ogłaszają upadek cywilizacji:

Śmiali się, że Dyduk ślepy i durny,
(...)
Nie widzieli gniazd niebożąt
skrytych w gęstwinie lipowych
liści, mysiego wiecu w starym
młynie, w którym koło wciąż
odmierzało chlebowe wory
ani tego, że cmentarny krzyż
kłaniał się jak stara kobieta
przygarbiona ciężarem bólu.

Won! – krzyczeli

Wszędobylski czas, którego nie potrafimy podporządkować sobie. Jest naszym panem od narodzin po śmierć. Trafnie to oddają słowa liryka:

i po mnie przyjdzie

jeszcze nie wiem
jak będzie wyglądał
(...)
po raz pierwszy spojrzę
w jego zimne oczy
zapewne będę się opierał
zapierał sam siebie
odejdziemy

Pozostanie tylko słowo.

Ada Jarosz to poetka dużej kultury, potrafiąca trafić bezpośrednio do serc ludzkich. A poetów z taką umiejętnością niewielu.

Jerzy Stasiewicz

Adriana Jarosz, *Rozdrożami.* Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2014, s. 76.

Adriana Jarosz, *Modlitwy malowane trzciną*. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2018, s. 84.

W czasie uciekających światów

Dziewięćdziesiąt to dużo,
ale nie dla poety.
B. Russko, „Dziewięćdziesiąt"

Sachte, sachte, mein Junge... (Powoli, powoli, młody człowieku). Poeta jest ciągle młody – ma zaledwie dziewięćdziesiąt lat (rocznik 1929). Nigdy nie jest się zbyt starym. Chociaż życie jest tylko jedno i nie ma drugiej szansy. Poeta jest jak ktoś, kto znalazł kamień filozoficzny (na podobieństwo Melguiadesa) i nie chce go wypuścić z rąk. A na zewnątrz przepływa dwudziesty pierwszy wiek. Fenomenalnie „kwitnący / pejzaż życia" godny podziwu. W przestrzeni życia pojawiła się poezja, która oddziałuje na życie.

Waldemar Smaszcz napisał: „że poeta od zawsze „ścigał" uciekające horyzonty, zmagał się z wiecznością, utrwalając doświadczane chwile, a teraz zdaje się ulegać „wodospadowi czasu". A teraz dwie złote myśli: pierwsza, że tylko poeci mają dość siły, żeby ruszyć świat z miejsca (wiemy jakim zamkniętym kręgiem jest ludzki świat), a prawda druga: „artysta nigdy nie jest podobny... ani do swego dzieła, a w jeszcze mniejszym stopniu do wyobrażenia o samym człowieku, jakie na podstawie jego dzieła i postaci tworzą sobie ludzie".

„Uciekające świty" to kolejny tomik **Borysa Russko** – jest jakby probówką, w której materia zdolna jest ukazać swoją prawdziwą barwę i naturę:

Nie wiem kiedy
postawię kropkę.
Myśl kreuje myśl.
Horyzont ucieka.
(„Kropka")

Poeta jest świadomy, że kiedyś trzeba będzie uporządkować swoje sprawy. I że jego królestwo jest z tego świata i stawia pytanie w wierszu „Piękno", gdzie jestem ponad wszystkim" – myślę, że u siebie w domu: w domu, a może ten dom jest czymś więcej niż miejscem w przestrzeni? W przestrzeni, w której sens życia jeszcze się nie wypełnił.

W wierszu „Rzeczywistość” czytamy: *Jedni twierdzą, że świat / jest analogowy. / Drudzy, że cyfrowy. / Dla mnie może być / analogowo-cyfrowy. / Ważne, / by na jabłoni / dojrzewały jabłka, / a dziewczęta miały / powab wiosny.*

Ważne są tematy, które się wciąż ze sobą przeplatają: jak los, przeznaczenie, przypadek, złe przeczucia, szczęśliwy traf, różne zbiegi okoliczności, marzenia, ambicje, tęsknoty, pragnienia i to cała zagadka istoty ludzkiej. Takie są wątki wplecione w książkę i problemy, które tworzą owe „Uciekające świty”. Wydaje się, że poeta przez całe życie ponaglał Czas... Może kiedyś ten Czas przestanie ciągnąć za sobą niepowiązane dźwięki i zostanie ujęty w ramy – zorganizowany i poddany ludzkiej woli: Jak w księdze Chilam-Balam: *będzie to czas, kiedy ruszy w drogę, odsłoni swoją twarz, przemówi i wyrzuci z siebie to, co przełknął, i uwolni się od nadmiaru swego brzmienia*.

Ponieważ istota bytu jest trudno dostępna, prawie niemożliwa do opisania – możliwa jedynie do wyrażenia, jak lęk i mrok otaczające człowieka, albo światło, kiedy wspomnimy „mistyczną noc istnienia”. Tutaj tryumfuje talent. Nie chodzi o to, żeby narzucić zaskoczenie, łączące między sobą przedmioty, które mogą pozostać tylko sobie wzajem obce – stajemy wobec czegoś nacechowanego rzeczywistością, która dotąd nie została wyrażona, ponieważ wyrasta często „ów leśmianowski mur” jest jak sen w najgłębiej rozkojarzonych elementach i przemożnie rzeczywistych – jak obraz smutku wszechświata, smutku pochodzącego stąd, że istniejemy. Czy ktoś kiedyś pisał o tym właśnie smutku?

Nieskończoność wyścielona
kreatywną nicością.
(...)
Pieśń transcendentna
ponad wszystkie
chóry.

(„Wieloświaty”)

Droga do słowa w poezji Borysa Russko bywa coraz mniej uciążliwa – znajduje słowa, którymi przeszywa myśli. Czy zatem zażegnał spór odwieczny – czy myśli słowami? Wierzy w magię słowa, bo ono posiada ogromną siłę. „Myśl fruwa, słowa chodzą pieszo, oto cały dramat pisarza”. Wiersze z tego tomu wciąż są zapowiedzią rozległej – a czasem paradoksalnej wyobraźni poetyckiej: te poetyckie obrazowe definicje mają coś wspólnego z definicjami formułowanymi przez naukę.

Profesor dr hab. Jerzy M. Gutowski po lekturze tomiku napisał w liście do autora: *Jestem pod wrażeniem celnych sformułowań, zaskakujących przenośni, ale jednocześnie realizmu faktograficznego, prawdy... Tak sobie wyobrażam naukowca-poetę. Gdybym chciał uprawiać poezję, to niechybnie szukałbym podobnej drogi.*

Poezja to przecież „rzeczywistość dosłowna” zrodzona z zadumy, rozpaczy, czy też wielkich nie spełnionych pragnień:

Rzucę rękawicę śmierci
pod nogi.
Moi sekundanci:
poezja z piórem w dłoni
filozofia przyrody
z otwartą księgą
i matematyka
z koroną na głowie.

Są jeszcze pomocnicy dramatycznej walki wewnętrznej:

cybernetyka
i inżynieria genetyczna.
Strzelę eliksirem życia.
Trup śmierci spłonie
w ogniu Hefajstosa.

(„Pojedynek”)

Nie lekceważmy zatem tej świadomości autora, którą ktoś mógłby nazwać ze wszech miar heroiczną. „Do końca nie przekonani do samych siebie i pozbawieni jednoznacznej busoli, odczuwamy przecież, że może wystarczy jedno jasnowidzenie, aby droga przez labirynt nagle wyprostowała się i sprowadziła nam ocalenie”. Spójrzmy szeroko przez *Okno wyobraźni / otwarte na świat. / Podziwiam kwitnący / pejzaż życia.*

A ja podziwiam język poety – to język jak gdyby połączony z ekstazą, który usiłuje rozpaczliwie wypowiedzieć to, co człowiek widział i czuł (w ziemskim raju) zapamiętanym przez poetę. Dociekliwi biografowie pewnie pójdą dalej – uznają, że życie jednostki nabiera sensu tylko poprzez więź z ogółem istot żyjących w przeszłości – a zwłaszcza w przyszłości (wrócę do listu prof. Gutowskiego) *jako naukowiec musiałem się nauczyć przedstawiać swoje obserwacje i wyniki badań w sposób zwięzły ale zrozumiały, bez zbędnych słów*.

Niezbędne jest w całej „reszcie” właśnie „Okno wyobraźni otwarte na świat”, który został stworzony całkiem nieźle – tylko niektórzy ludzie robią z niego nie ten „użytek”. A więc *Okno obustronne, / z tej strony ja, / z drugiej strony reszta*.

Poeta często będzie nas w ten sposób zaskakiwał – oto co jest jego pasją:

Tajemnica nieskończoności
spoczywa w ostatnim
tomie matematyki
z biblioteki Absolutu.

(„Nieskończoność”)

Będziemy tym, czym jesteśmy – czym będziemy? *Jestem, / więc odejdę*, (czytamy w wierszu „Odejście”) *Wyzwolona treść / wróci do źródła, / do księgozbioru*.

Poeta odwołuje się do wyobraźni, do zmysłów – lekko i dynamicznie. Bez wątpienia malarstwo i poezja są świadkami urody świata – natura jest pierwotna – antycypuje nas samych... Celem tej poezji jest przede wszystkim naukowe badanie świata – poeta jest absolwentem Politechniki Warszawskiej – którą ukończył w 1952 roku. Poeta dla Borysa Russko zawsze jest nosicielem prawd oczywistych i tych, których nie ma, ale za którymi twórca będzie szedł zawsze:

Przejścia do innego wymiaru
szukam w zbiorze
stanów skwantowanej natury
jakbym szukał
szczytów
w wiecznej mgle obłoków

(„Szukam”)

Poeta dyskretnie podkreśla, że umysł stara się wyjść poza bezpośrednie odczuwanie świata – tzn. wdać się w przygodę na rzecz ludzkiej dociekliwości co pozwala człowiekowi widzieć, co innego – inaczej, wyjść poza własne życie. Jednak nawet sięgając – dzięki matematyce – daleko w głąb Wszechświata Borys Russko pozostaje subtelnym lirykiem: *Świadomość nie zna / barier, / jest Bytem absolutnym. / Człowiek szuka przejść / w niekończącym się / labiryncie*.

A jednak nie otrzymamy odpowiedzi na szereg pytań – na żadne pytania, które będą pytaniami od początku do końca o wszystko, ponieważ dramat losu współczesnego człowieka będzie i tak trwał nadal.

Pamiętajmy jednak, że autor „Uciekających świtów” urodził się w Białowieży *Między dębami, / w kręgu kamieni, / biała aura puszczy*. Stamtąd czerpał inspiracje do wielu swoich wierszy – od ludzi tam zamieszkałych uczył się znaczenia i stosowania prostych, zrozumiałych dla każdego słów. Ale zamiast epickości – skondensowany w obrazie i zmysłowej metaforze wiersz „Szum lasu”:

Przyjdź do puszczy.
Szum drzew porywa
i basy dębów
i barytony jesionów
i tenory świerków
i alty brzóz
i soprany sosen.

Poeta porozumiewa się z przyrodą (zawarł z nią pakt) tożsamy z naturą człowieka. Puszcza żyje w nim (będzie żyć) widzialna i namacalna. „Uciekające świty” to chyba najgłębszy myślowo tom Borysa Russko – wiersze wzmogły ostrość i drapieżność – to nie znaczy, że stały się bardziej klasycystyczne. Tak bywa zazwyczaj, że jesień życia usposabia filozoficznie (poszukiwawcze) zaś refleksja liryczna zabarwiona została doświadczeniami lat, które jak każdemu przydają myślowej głębi. Posłuchajmy poety zapatrzonego w kosmos, metafizykę i poezję. *Napisałeś prolog / do następnej księgi (...) Widzisz czekających na słowo poety*. Bo jest to poezja zupełnie niezwykła – do której dochodzi się z wiekiem. Organizująca wyobraźnię, nawet jeśli nie w pełni można ogarnąć przystosowanym do wszelakich rygorów umysłem. Mam na myśli poczucie ciągłości i trwania, które zdobywa coraz bogatsze, wszechstronniejsze „oświetlenie”. Poeta przecież żyje po to aby być wiernym Życiu...

Andrzej Gnarowski

Borys Russko, „Uciekające świty”. Wydawnictwo Komograf 2019.

Niewinność Ireny Nyczaj

W swojej najnowszej książce pt. „Wina", wielogatunkowej formalnie, bo zawierającej zarówno różnorodną poezję, jak i prozę, **Irena Nyczaj** w krótkiej frazie wiersza pt. „Sen heroiczny" zdefiniowała los tysięcy, co ja mówię – milionów kobiet:

Budzę się
i jak co dzień
zakładam szczątki
dziurawego pancerza
Przyszywam
nową łatę

Nie o sam sen, w którym mają prawo dziać się sytuacje morfeuszowskie, absolutnie niesprawdzalne, mi chodzi. Ale właśnie o tę puentę, która jest o wiele bardziej dramatyczna od wszystkich widzeń nocnych. I nawet jeżeli podmiot liryczny (czy na pewno alter ego autorki?) zwierza się w tym wierszu wyłącznie z sytuacji osobistej, to jest ona nieobliczalnie zwielokrotniona, i utożsami się z nią mnóstwo czytelniczek, podobnie jak ja. Konstrukcyjnie jest w tej frazie słów niewiele więcej, niż zmieściłoby się w podwójnym haiku (nie bez powodu to podkreślam, bo i taką formę poetycką znajdziemy w „Winie"), ale jej niepokojąca presja chodziła za mną przez kilka bardzo zajętych tygodni, aż kazała wrócić do książki…

Wróciłam. Do biogramu Ireny Nyczaj, z którym warto zaznajomić potencjalnych czytelników, i do jej „oferty" twórczej, różnorodnej i niebanalnej, oprawionej wizualnie w estetyczną szatę graficzną własnego autorstwa. Kielczanka z pochodzenia, „krakowianka" w okresie studiów (absolwentka filologii rosyjskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim), upowszechniała ten piękny, bogaty literacko język w szkolnictwie rodzinnego miasta oraz w przekładach rosyjskiej poezji i prozy.

Już jako laureatka I nagrody w konkursie „O Świętokrzyską Lirę Poezji", zadebiutowała cyklem wierszy na łamach miesięcznika „Przemiany" w 1978 roku. Wieloletnie publikacje poezji i opowiadań (od krakowskiego „Życia Literackiego" po gdański „Autograf") zaowocowały wydaniem zbioru opowiadań „Zwid" w krakowskim Wydawnictwie „Miniatura" w roku 1992. Równoległą pasją Ireny Nyczaj jest edytorstwo i bardzo oryginalne w formie wyrazu kolaże, ilustrujące wiele książek oraz innych publikacji, a także pokazywane na ekspozycjach.

Któż mógłby trafniej zachęcić czytelników wizualnie do przeczytania „Winy", niż sama autorka - tym niepokojącym znakiem kobiecych ust na okładce, które wiąże nakazem milczenia para kobiecych rąk w niemodnych atłasowych rękawiczkach. Teatralnych zapewne, wprowadzając element scenicznej gry, umowności, tajemnicy i niewiadomej w miejsce finału. Taka też jest zawartość tematyczna książki, zarówno w wierszach jak i opowiadaniach. No, nie wyobrażajmy sobie nadmiaru dramaturgii tak do końca: okalające okładkę skrzydełka niosą w sobie jakąś dozę optymizmu i poczucia bezpieczeństwa – jeżeli tylko zechcemy wczytać się w zamieszczone tutaj dwa piękne, pełne czułości, liryki: „Moja gwiazda" i „Z samego wierzchołka płotu" autorstwa Stanisława Nyczaja, znanego kieleckiego poety i pisarza, animatora życia literackiego w Świętokrzyskiem, prywatnie – męża autorki. Zajrzyjmy zatem do „Winy", wydanej pod redakcją Stefana Jurkowskiego w kieleckiej Oficynie Wydawniczej „STON 2".

Barbara Gajewska w swoim szkicu na łamach portalu Pisarze.pl pisze, iż tytuł książki *…spada na moje czytelnicze nastawienie ciężarem, w którym jest jakaś doza tragizmu i jednocześnie oczekiwanie na ocalenie (…) Instynktownie zatem szukam winy u bohaterów i bohaterek zawartych w książce wierszy i opowiadań.* Ale ten intrygujący tytułowy znak werbalny nie musi do końca oznaczać ani depresyjnego stanu psychicznego podmiotu lirycznego, ani wspólnego mianownika dla wszystkich zamkniętych w okładkach utworów.

Rzeczywiście w opowiadaniu „Sprawiedliwy las" czy „Dlaczego uderzyła" autorka zbudowała postacie bohaterów negatywnych, których działania, przynoszące krzywdę otoczeniu, znajdą swój finał w ich napiętnowaniu przez to otoczenie, czy też siły wyższe. Ale nie wszystkie te opowieści można mierzyć jedną miarą, i – poruszając się tylko w obrębie tytułów można stwierdzić, że wszystko jest względne: i „Wina", i „Racja", bo jesteśmy „Tacy sami" i kwestią interpretacji jest fakt, po której moglibyśmy się znaleźć stronie. Autorka, która bardzo czujnie, ale nie czułostkowo, obserwuje realia życia, ma świadomość prowokowania czytelników. Wydaje mi się, że z założenia dystansuje się od wszelkich ewentualnych sposobów recepcji swojej książki.

Na plan pierwszy wybija się ironiczne, przewrotne podejście do opisywanej rzeczywistości – podkreśla we wstępie do „Winy" Anna Maria Musz. – *Autorka przez cały czas utrzymuje również wyrównane, wysokie tempo opowieści, przeprowadzając czytelnika od „niepokornych" liryków, poprzez miniatury prozatorskie o absolutnie nieprzewidywalnych zakończeniach aż po ciekawie rozwiązaną sekwencję miniatur poetyckich.* O opowiadaniach: *W oszczędnych środkach wyrazu autorka zawiera zaskakująco wiele obrazów, spostrzeżeń i obserwacji (…). Ogromny ładunek emocjonalny równoważy powściągliwym i (znów) ironicznym stylem opisu. Nie waha się sięgać po czarny humor, nie stroni od dramatów i fabularnych rewolt…* I dalej o książce: *…to szalona mozaika, ironiczna, chwilami zabawna, chwilami poważna i refleksyjna, a przy tym niezwykle dynamiczna.*

Godząc się z autorką wstępu, sugestywnie zatytułowanego „"Niech żyje siła!", odnoszę wrażenie, że jeżeli nawet układ książki nie do końca był zamysłem twórczym, to rezultatu należy Irenie Nyczaj pogratulować. Zakładając dowolność interpretacji przez każdego – każdego z zamieszczonych w książce utworów, jej wiersz pt. „Lot" odbieram właśnie jako zmaganie się twórcy z materią dzieła, ze słowem, z warsztatem:

Ty nie wiesz Gniady
za tym polem
wąwóz głęboki
Krzyczę wyrok śmierci

Nie rozumiesz słów
Nie słuchasz poleceń

Ale przecież pojawia się w tej nieskutecznej walce to coś, co nazywamy „światełkiem w tunelu":

Co to?
U barków Gniadego
zalążki skrzydeł…
…Co z tego Gniady
że potem
osadzą nas twarde skały?

Zatem – walka, walka aż do zwycięstwa, niezależnie od konsekwencji. Czy tylko w procesie twórczym? Czy też w innych, dalekich od wizyt na Parnasie, działaniach człowieka? Gdzież ja to czytałam o ludziach pióra, iż pragną wyrażać to, co najważniejsze. Zdecydowali się dać wyraz uczuciom, myślom aktom wyobraźni. W ten sposób przeciwstawiają się sugestiom o absurdzie i szaleństwie świata… Tak czyni również Irena Nyczaj, kreując swoje obrazy poetyckie na najbardziej zaskakujących zestawieniach, jak w wierszu „Mój ogródek":

W roboczym ubraniu
wyrywam z w y c z a j n e s m u t k i
i r o z p a c z b e z ł o d y g o w ą

Stop. Tu nie będzie intepretacji. Tu nie ma ironii. Tu jest gęsta, ciemna tajemnica. Czyja? Ale są jeszcze w końcowym cyklu haiku, miniaturki – epigramaty, odbiegające od założeń japońskich pierwowzorów, lecz wyrażające (podobnie jak i tam najczęściej) apoteozę piękna natury:

W betonie miasta / za oknami ptakami / wiosna wyrasta

ale też:

W bliźnich agresji / zginiesz choć się nie ugniesz / brutalnej presji

i to:

Musnął mnie Pegaz / skrzydłami – symbolami / sztuki mecenas

Ten najbardziej polubiłam… Jeżeli gdziekolwiek jest wina, to nie tutaj. Wysoki Sądzie, autorka „Winy" jest niewinna.

Krystyna Konecka

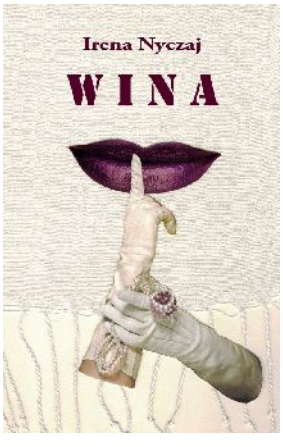

Filozofia codzienności

prof. Marii Szyszkowskiej (157)

Fot. Andrzej Dębkowski

Trzeba też podkreślić, że erotyzm – przynoszący intensywne przeżywanie szczęścia – miewa wymiar duchowy. Wyrażał to znakomicie w swoich esejach niedoceniany wciąż Stanisław Przybyszewski. O tym, że miłość jest uczuciem i doznaniem najmocniej uszczęśliwiającym człowieka, przeczytać można w szczerych dziennikach wybitnych pisarzy, by podać jako przykład dzienniki Marusi Kasprowiczowej, czy książki Simone de Beauvoir. Ufać uczuciom, intuicji i wyobraźni, to znaczy zarazem wiązać urodę życia z doznaniami i wyborami, które rozum niejednokrotnie nakazuje powściągać.

Dni szczególne

Na ogół nie jesteśmy zadowoleni ani z urządzenia świata w którym przyszło nam żyć, ani też z siebie samych. Urzeczywistnienie wielu pragnień zależy od nas, od naszej niezłomności. „Woli trzeba zbawicielki w rzeczy małej, w rzeczy wielkiej" – wołał bohater dramatu Henryka Ibsena „Brand".

Punktem od którego postanawiamy coś zmienić w naszym życiu bywa, że staje się Nowy Rok. Określona jest wówczas wyraźnie granica dzieląca nas od „starej skóry", jak również od tych relacji z osobami, które mają wątpliwą wartość. To nic, że wiele spośród tych postanowień zapewne nie zostanie spełnionych. Istotne, że przyczyniają się do głębszego zajrzenia w siebie i choćby chwilowej radosnej wiary w siłę własnych postanowień. Znaczenia nadziei nie da się przecenić. Złudzenia wobec siebie też bywają przyjemne.

Nowy Rok to dzień odpoczynku po balu sylwestrowym. Zabawy i tańca jest zbyt mało w naszym życiu. Bywają one wyrazem radości istnienia, potrzebą, chęcią zmiany płaszczyzny istnienia, ale także swoistą powinnością. Otóż wielu mężów w noc sylwestrową ubiera się uroczyście, by raz w roku spełnić obowiązek jakim jest dotrzymanie towarzystwa żonie na balu.

Spośród pisarzy Scott Fitzgerald i Zelda oddawali się bez reszty radości tańca i umieli czerpać inspiracje z przełomowych momentów jakim jest Nowy Rok. Podobne wyznania można znaleźć w dziennikach Marii Kasprowiczowej oraz jej rozczarowanie nadmierną powagą męża, Jana Kasprowicza, stroniącego od rozrywek.

W osobach wrażliwych, o dużej wyobraźni, zdarza się, że myśl o nowym roku wywołuje rozmaite lęki. Wiąże się to z poczuciem, iż nie sprosta się na przykład nałożonym na siebie obowiązkom, czy oczekiwaniom, które ktoś w nas pokłada.

Szczególne niepokoje, które przeżywają tylko nieliczne pokolenia, wywołuje przełom wieków. Dane nam, żyjącym, były doznania związane z nowym tysiącleciem. Schyłek XX wieku, zbliżanie się nowego tysiąclecia wywołało było wzmożone sięganie do przepowiedni. Czynili to nawet ci, którzy w zwykłych okolicznościach tego nie czynią. Miało to sens psychohigieniczny dla tych, którzy na co dzień pogrążeni są w egoizmie rodzinnym i sprawach przyziemnych.

Oczywiście, wszelkie daty są umowne. Ludzkość nie ma kalendarza, który obowiązywałby jednakowo wszystkich niezależnie od wyznania religijnego.

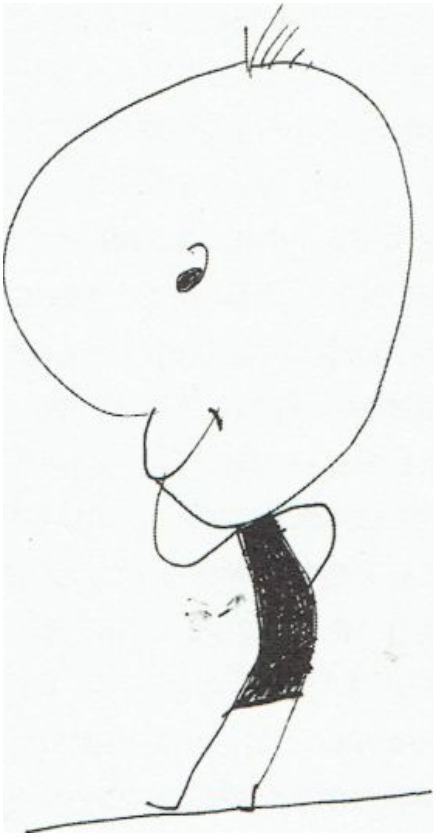

Rys. Jan Stępień

Pamiętny jest wiersz „Koniec wieku XIX" Kazimierza Tetmajera porównujący człowieka do bezsilnej mrówki rzuconej na szyny wobec pędzącego pociągu. W każdym razie w stosunku do tysiącleci, podczas których – według znalezisk archeologicznych – ludzie już żyli, przekazana historia jest zaledwie zapowiedzią tego, co czeka ludzkość. Może rację mają ci, którzy twierdzą, że kolejne lata ujawnią nasze nieznane jeszcze możliwości. A może trzeba będzie przyznać rację pesymistom, którym się wydaje, że najlepsze lata ludzkości już przeminęły.

Pragniemy wyrwać się z szarzyzny życia. Święta są dniami, które tradycyjna obyczajowość każe inaczej spędzać. Niewątpliwie mamy oczekiwania, by ciąg codziennych zdarzeń bywał przerywany czymś niecodziennym. Wiąże się to z drzemiącą w nas potrzebą wspólnoty, nie zawsze wyraźnie uświadamianą.

To, co przerywa powtarzający się rytm obowiązków, przynosi poczucie wolności i zarazem możliwość zastanowienia się nad sobą na ile jesteśmy autentyczni, a na ile ulegamy narzucanym rozmaitym modom w sposobie życia i myślenia.

Czymś wyjątkowym jest wigilijny stół. Możemy odczuć nie tylko więzi z zasiadającymi przy wspólnym stole, ale także z rodakami. Rytuał wigilijny powtarza się bowiem w każdym polskim domu. Nasza tradycja ma swój niepowtarzalny wyraz. Ponadto tego dnia zanikają na chwilę różnice polityczne, szerzej – światopoglądowe, co przynosi upragnione poczucie jedności.

Łączy nas też niepowtarzalna atmosfera związana z tym jedynym dniem w roku. Nakrycie dla możliwego przybysza, wolne miejsce przy stole, czeka. A my, zgromadzeni przy migotliwym blasku świec zapalonych na choince, czujemy smak potraw przyrządzanych tylko tego dnia. Nie warto dla wygody cieszyć się choinką o ile jest wytworem fabrycznym pozbawionym zapachu i życia.

Tylko tego dnia w myśl polskiej tradycji przychodzi święty Mikołaj. Czekają na niego nie tylko dzieci. Każdy z nas jest podszyty dzieckiem, jak to określił Witold Gombrowicz, więc atmosfera tajemniczości i czekania na coś nieokreślonego potęguje niezwykłość wigilii. Nie piszę tu o wymiarze religijnym tego dnia, bowiem osób żarliwie kochających Boga nie jest wiele, a wieczór wigilijny łączy ze sobą wszystkich Polaków.

Wyznam, że zjawił się u mnie w ubiegłym roku święty Mikołaj. Magia takiego spotkania jest na tyle potężna, że znów tęsknię do możliwości dotknięcia świętego. Dodam, że dziwna przygoda towarzyszyła spotkaniu ze św. Mikołajem przed kilkunastu laty. Otóż zjawił się w moim rodzinnym domu w Warszawie, ale musiałam zawracać go na schodach, bo uciekał przestraszony widokiem wielu wyłącznie dorosłych osób przy wigilijnym stole.

Zdaję sobie sprawę, że w niejednym domu spotkanie przy wigilijnym stole bywa swoistą powinnością. Rodzina ma duże znaczenie i w jej kulcie jesteśmy wychowywani. Ale więzy krwi nie gwarantują bliskości psychicznej i akceptacji, której każdy z nas jest spragniony. Oczywiście rezygnacja z własnego ja w imię zdobycia aprobaty, nawet najbliższych, przynosi katastrofalne skutki.

Doznania smakowe i węchowe związane z wigilią nie zmniejszają pewnego usztywnienia. Sprawia to odświętne ubranie i świadomość nakazu wzajemnej życzliwości.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(3)

Następnego dnia rano stoję w kolejce, gdzie przyjmuje dr K. Widzę, że coraz więcej ludzi przybywa, a ja nadal nie jestem pewny, czy mnie doktor przyjmie. Idę na górę na oddział, ale doktor jest zajęty. Boję się, że ucieknie mi kolejka i wracam na dół pod gabinet. Tłum coraz większy. Po godzinie zjawia się dr K. i zaczyna przyjmować. Idzie to nawet szybko. Ciągle, co 15-20 minut – muszę wchodzić do toalety. Akurat w tym czasie, jak się okazało, wyczytują moje nazwisko. Gdy tylko opuści gabinet ostatni pacjent, mówię, że byłem wyczytywany, ale musiałem iść za potrzebą. Niestety. Doktor spojrzał na mnie podpisał wczorajsze skierowanie, a jednocześnie powiedział: – Przyjmę pana na końcu, bo ci wszyscy czekają już na mnie od 3 miesięcy. – Odpowiadam: – Podporządkuję się, panie doktorze, choć to jest akurat moja kolejka, którą zająłem dziś rano. Ale już więcej nie dyskutuję i wychodzę z gabinetu i czekam cierpliwie na koniec. Przede mną jest jeszcze trochę ludzi, ale moje emocje i niepewność opadły. Wiem już, że będę dziś przyjęty, nieważna godzina.

8 marca po wizycie u dr. S. idę do kierowniczki przychodni i opowiadam jej o swoim leczeniu i opiece paliatywnej, jaką mi zgotował dr B. Mówię wprost: – To on jest winien, że mam dziś tak zaawansowaną chorobę nowotworową. – Gdy jej opowiadam o jego leczeniu, diagnozach, kręci ze zdumienia głową. Mówię jej, że nie mam zamiaru włóczyć się z nim po sądach, choć dziś jest to możliwe, inaczej niż w PRL-u. Zostawiam jednak tę sprawę jego przełożonym, by przynajmniej wiedzieli, gdy będę oceniać swoją kadrę, jakich mają w swoim gronie lekarzy. Podziękowałem za rozmowę i wyszedłem.

14 marca jestem na komisji lekarskiej w sprawie wniosku o mojej niepełnosprawności. Załatwienie formalności zajęło mi wcześniej sporo czasu. Wniosek napisała p. dr S., ale musiałem do tego załączyć dokumenty z operacji, opinię operujących i wyniki badań histopatologicznych, wypełnić także jakąś ankietę. Wcześniej w starostwie byłem z tego powodu bodajże 2 lub 3 razy, bo coś tam czegoś brakowało w dokumentach.

Komisja przyjmuje na 4 piętrze w starostwie. Wszyscy petenci siedzą na krzesłach w poczekalni na korytarzu. Pracują 3 zespoły w różnych oddzielnych pokojach. Petenci w związku z wprowadzonym niedawno RODO wywoływani są po imieniu albo przy pomocy numeru, który wysłano nam w zawiadomieniu o terminie komisji lekarskiej, np. pan Mirosław z godziny 15.10 albo numer 345. Śmiesznie to trochę wygląda, no ale trudno mieć o to do ludzi pretensje. Akurat, gdy wywołują mnie, jestem w toalecie. Wchodzi ktoś inny. Gdy wychodzi petent czy pacjent, wchodzę do gabinetu, tłumacząc dlaczego wyleciałem z kolejki. „Proszę jeszcze zaczekać na korytarzu. My sami prosimy zainteresowanych". No i czekam cierpliwie. Za chwilę proszą mnie do pokoju. Pytają, ile lat pracowałem, gdzie, jaki mam zawód, od jak dawna jestem na emeryturze , a nawet to, co sądzę o minister Zalewskiej, bo podałem, że byłem nauczycielem polonistą. Odpowiadam jak Ezop. Potem jeszcze jestem pytany o chorobę, jak to się zaczęło? Czy miałem krwiomocz? Odpowiadam, że miałem, kilka razy. Powiedziałem o tym lekarzowi? – Powiedziałem – odpowiadam. – A co on na to? – Powiedział, że to jakiś piasek wydostał się z nerek i poranił mi drogi moczowe, i dlatego dr B. leczył mnie fitolizyną, która miała odczyszczać moje nerki „z piasku". Sam nie jednak nie zlecał w tej sprawie żadnych samodzielnych badań, by poznać przyczyny… . Milczenie.

18 marca wybieram się do Podkarpackiego Centrum Onkologii na godzinę 13.30 do dr. G. Skierowanie do PCO otrzymałem od dr. K. Mam już wyniki tomografii i płytkę. Zamierzam ze sobą zabrać też jej opis i na wszelki wypadek także inne dokumenty. Wizytę ustalam telefonicznie. Pomaga mi we wszystkim żona. Do Rzeszowa mogę jechać pociągiem lub busem. Wybieram busa, bo lepiej mam skoordynowane godziny przyjazdu, choć jest to o wiele mniej komfortowe niż jazda pociągiem ze względu na brak w busach toalety. Muszę też zabrać ze sobą z konieczności jakąś dodatkową wkładkę higieniczną, którą wymienię już na miejscu, bo nie wierzę przecież, by mi się udało przejechać 1,5 godziny „na sucho", gdy trudno mi przesiedzieć w kościele na mszy nawet pół godziny. Przygotowanie się do podróży zabiera mi trochę czasu. Po prostu uczę się teraz także cierpliwości. Podróż odbyła się bez większych problemów, choć bus odjechał o 10 minut później niż się spodziewaliśmy. Ale do przyjęcia w Centrum mamy 1,5 godziny, więc spokojnie siedzę, a potem, gdy dotrzemy do Rzeszowa, będę szukał ulicy Szopena 2. Rzeczywiście, numer ten jest mylący, bo wszystkie budynki są ogrodzone i w jakiś sposób połączone. Docieramy do bramy głównej przy Chopina 1 i szukamy PCO, co wcale nie jest takie łatwe. Wreszcie mimo drobnego deszczu, który siąpi od chwili wyjścia z busa, odnajdujemy właściwy budynek, który wcale nie ma numeracji, ale jest Podkarpackim Centrum Onkologii. W rejestracji wyrabiam kartotekę i wchodzimy na piętro, gdzie przyjmuje dr G.

Mimo że byliśmy umówieni na 13.30 dr G. przyjmuje nas o 14.30, już jako ostatnich (1 pacjenta na pół godziny). Przed przyjęciem dajemy doktorowi opis razem z płytką z tomografii. Czekamy z żoną aż poprosi nas do gabinetu. Doktor jest miłym, młodym człowiekiem. Przepytuje mnie o choroby przebyte, ewentualne uczulenia, dolegliwości i przebieg choroby nowotworowej. Jak i kiedy ją rozpoznano. Cały czas pyta i pisze w dokumentach. Dowiaduję się, że lekarze w Stalowej Woli zbyt szybko podjęli decyzję o usunięciu guzów. Powinni – jego zdaniem – zrobić to dopiero po zrobieniu tomografii. Opis płytki jest – według niego mało precyzyjny – dlatego będzie musiał sam ją obejrzeć i sprawdzić, jaki jest stan zaawansowania choroby nowotworowej. Prawdopodobnie nowotwór jest już tak duży, że nie da się go usunąć laparoskopowo tylko operacyjnie. Przygotowuje mnie na rezonans, który zadecyduje, jakie leczenie zostanie podjęte. Zlecił mi też wykonanie na miejscu w laboratorium PCO w Rzeszowie badanie krwi. Bada mnie też i osłuchuje płuca. Każe też zrobić zdjęcie RTG w domu. Pyta o serce i chorobę ciśnieniową. Te mam w akurat w porządku. Na rezonans umawiamy się telefonicznie w środę. Do domu wyjeżdżamy z Rzeszowa o 16.00 busem. W Stalowej Woli jesteśmy 17.30. W domu dorwałem się do jedzenia, bo byłem tylko po śniadaniu. O tej godzinie zazwyczaj już nie jem. Wiadomo, musiałem to odpokutować. W nocy spałem z przerwami.

Mirosław Osowski

Eliza Segiet

Szacunek

Dla ciebie
to tylko odskocznia od codzienności,
igraszki nie tylko słowne,
zabawa.
Obietnice,
w które naiwnie wierzy.
Niepotrzebnie
zrobiłeś z niej posłuszną marionetkę.
Wiesz, że
w spragnionej miłości kobiecie
nie wolno
namiętnością rozpalać nadziei.

Granice przyzwoitości,
nie wymagają odwagi
– lecz szacunku dla drugiego.

Dopóki czas

Wokół każdego
jest to.
czego nie można pojąć.

Lekarz – diagnoza – prognoza!

Niewytłumaczalne zło.
które czasami chce zabrać przyszłość.

Zaczyna drążyć, coraz głębiej.
Dopóki czas pozwala przeciwstawić się
wrogowi – nadzieją i miłością próbujemy
pokonywać złe wyroki.

A życiowe wartości?

Ważniejsze jest być niż mieć.

POEZJA

42. Międzynarodowy Listopad Poetycki. Almanach. Redakcja: Anna Andrych, Maria Magdalena Pocgaj. Projekt okładki i zdjęcie na okładce: Maria Magdalena Pocgaj, Maja Rausch. Seria Wydawnicza Libra, nr 119. Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, Poznań 2019, s. 140.

Bogusław Chmiel, *Refleksje*. Projekt okładki: Małgorzata Borsukiewicz. Seria Wydawnicza LIBRA, nr 116. Wydawca: Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, Poznań 2019, s. 48.

Zofia Grabowska-Andrijew, *To wszystko człowiek*. Redakcja i korekta: Tomasz Janas. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Joanna Pakuła. Wizerunek autorki na podstawie fotografii Macieja Strzelińskiego ze zbiorów Zofii Grabowskiej-Andrijew. Wydawnictwo Miejskie Posnania, Poznań 2019, s. 160.

Franciszek Haber, *Potyczki z Chronosem*. Projekt okładki: Cyprian Zdrożny. Nakład autorski, bez miejsca wydania, 2019, s. 104.

Jak podanie ręki. Like The Hand of Friendship. XI antologia poezji współczesnej. Redaktor i koordynator projektu: Danuta Bartosz. Tłumaczyła: Danuta Zasada. Współpraca redakcyjna: Jerzy Fryckowski, Edyta Kulczak, Ada Jadwiga Matysiak, Agnieszka Mąkinia. Projekt okładki: Danuta Witkowska. Wydawca: Wielkopolski Oddział Związku Literatów Polskich i Fundacja Literacka „Jak podanie ręki", Poznań 2019, s. 236.

Jak podanie ręki. Wie ein Handedruck. Antologia poezji współczesnej IV. Redaktor i koordynator projektu: Danuta Bartosz. Tłumaczyła: Ada Jadwiga Matysiak. Współpraca redakcyjna: Edyta Kulczak, Ada Jadwiga Matysiak. Projekt okładki: Danuta Witkowska. Wydawca: Wielkopolski Oddział Związku Literatów Polskich i Fundacja Literacka „Jak podanie ręki", Poznań 2018, s. 264.

Józef Stanisław Kmieciak, *Wspomnienie*. Redakcja i korekta: Helena Górska. Na okładce: fragment obrazu Andrzeja Wróblewskiego „Ukrzesłowienie". Fotografia autorstwa Marii Wardzichowskiej. Oficyna Wydawnicza „Reduta", Łódź-Warszawa 2019, s. 78.

Małgorzata Kulisiewicz, *Ciasteczka z ironią.* Biblioteka *Poezji Dzisiaj.* Opracowanie graficzne: Barbara Jurkowska. Wydawnictwo Książkowe IBiS, Warszawa 2019, s. 68.

Halina Kuropatnicka-Salamon, *Z własnym kluczem. Wiersze i opowiadania*. Projekt okładki: Krzysztof Pruśniewski. Korekta: Dorota Mindewicz, Helena Jakubowska. Wydawca: Towarzystwo Muzyczne im. Edwina Kowalika, Warszawa 2018, s. 64.

Zofia Mirska, *Grudka ziemi*. Redakcja: Mieczysław Kowalcze. Zdjęcia: Krzysztof Radzimierski. Wydawca: Klub Otwartej Kultury, Kłodzko 2019, s. 62.

Polanickie inspiracje. XVI Międzynarodowy Festiwal Poezji POECI BEZ GRANIC im. Andrzeja Bartyńskiego w Polanicy Zdroju. Redakcja i wybór utworów: Kazimierz Burnat. Projekt okładki: Ewa Moskała, Kazimierz Burnat. Współpraca redakcyjna: „Oksymoron". Wydawnictwo ESD Ewa Moskała, Wrocław 2019, s. 160.

Adam Zdrodowski, *Moon machine.* Ilustracje: Wojciech Tylbor-Kubrakiewicz. Projekt okładki i stron tytułowych: Jakub Rakusa-Suszczewski, Seria *Tangere.* Anna Matysiak. CON vivo Anna Matysiak, Warszawa 2019, s. 60.

Anna Zelenay, *Wiersze wybrane.* Wybór i posłowie: Karol Maliszewski. Projekt: Michał Kaczkowski. *Biblioteka Zapomnianych Poetów,* tom 15. Ośrodek „Brama Grodzka, Teatr NN", Lublin 2019, s. 108.

PROZA

Tadeusz Czerniawski, W *poszukiwaniu sensu*. Redakcja, zdjęcie na I stronie okładki i projekt okładki: Andrzej Dębkowski. Wydawca: Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Zelów 2019, s. 318.

Yan Lianke, *Sen wioski Ding.* Przełożyła: Joanna Krenz. Projekt okładki i stron tytułowych: Wiktor Dyndo. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019, s. 424.

Eliza Segiet, *Bezgłośni*. Redaktor prowadząca: Wioletta Tomaszewska. Korekta: Robert Olejnik, Marianna Umerle. Projekt okładki: Jakub Kleczowski, Piotr Karczewski. Fotografia na okładce: Piotr Karczewski. Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., Konin 2019, s. 84.

Mariusz Szczygieł, *Nie ma*. Redakcja: Julianna Jonek-Springer, Jacek Mozolewski. Korekta i poprawność językowa: Małgorzata Włodarczyk. Projekt okładki, projekt graficzny i typograficzny: Dominika Jagiełło. Obraz na okładce: Michał Mroczka. Reprodukcja obrazu: Maciej Cioch. Fotografia autora: Tomasz Krupa. Wydawnictwo Dowody na Istnienie, Warszawa 2019, s. 336.

Włodzimierz Zaczek, *Menel.* Redakcja i korekta: Małgorzata Garnek. Zdjęcie na okładce: www.pixabay.com. Wydawnictwo „Bernardinum" Sp. z o.o., Pelplin 2019, s. 384.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Aleksandra Domańska, *Bohatyrowicze. Szkice do portretu.* Projekt graficzny: Janusz Górski. *Biblioteka* „Więzi", tom 352. Więź, Warszawa 2019, s. 160.

Olgerd Dziechciarz, *O Olkuszu, czyli nigdzie. Felietony z lat 2012-2017.* Zdjęcie na okładce: Łukasz Dwornik. Fundacja Kultury AFRONT, Bukowno 2018, s. 168.

Łukasz Jarosz, *Czynności i stany.* Zdjęcie na okładce: Adrian Spuła. Zdjęcie autora: Paweł Filo. Projekt okładki Jakub Pszoniak. Fundacja Kultury AFRONT, Bukowno 2019, s. 138.

Marcin Jaworski, *Barbarzyńcy, klasycyści i inni. Spory o młodą poezję w latach* 90. Projekt okładki: Elżbieta Kidacka. Seria *Polemika Krytycznoliteracka w Polsce,* tom 7. Wydawnictwo Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Poznań 2018, s. 338.

Tomasz Łubieński, *Wojna według Karskiego.* Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2019, s. 132.

Dariusz Rosiak, *Bauman*. Opieka redakcyjna: Damian Strączek. Redakcja: Anna Śledzikowska. Korekta: Monika Karolczuk, Julia Kalęba. Projekt okładki: Łukasz Podolak. Fotografia na I stornie okładki: Samuel Sanchez / El Pais. Opracowanie graficzne: Karol Tyczyński. Indeks: Anna Śledzikowska. Fotografie wewnątrz książki: s. 2 (Krasnogruda, 2011) – Michał Kość / REPORTER, s. 254 (Sopot, 2013) – Wojciech Stróżyk / REPORTER. Wydawnictwo MANDO, Kraków 2019, s. 256.

Marek Sołtysik, *Klan Matejków.* Wydawnictwo ARKADY, Warszawa 2019, s. 288, w tym fotografie.

Arkadiusz Szaraniec, *Warszawa dzika.* Projekt graficzny: Andrzej Barecki. Zdjęcie autora na obwolucie: Tadeusz Bystram. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2019, s. 326.

Andrzej Sznajder, *Potargane życie Światka*. Redakcja: Magdalena Binkowska. Projekt okładki: Bożena Trocka-Dąbrowa. Wydawca: Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi, Łódź 2019, s. 154.

Anna Waligórska, **Miłosz Waligórski**, *Ziele izoo.* Anna Waligórska, obrazy. Miłosz Waligórski, wiersze. Opracowanie graficzne: Agnieszka Matula. Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku, Gdańsk 2019. Strony nienumerowane.

Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Varia*. Wydanie krytyczne ze wstępem Jana Błońskiego. Opracował: Janusz Degler. Redakcja: Krystyna Kurmanowa. Obwolutę, okładkę i strony tytułowe projektował: Andrzej Heidrich. Na frontopisie: Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Autoportret*, 1915-1918.. Indeks: Maria Kaniewska. Korekta: Dobrosława Pańkowska, Maria Kaniewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019, s. 340.

Adam Zagajewski, *Substancja nieuporządkowana.* Projekt okładki: Paulina Zielona, Dmitry Szevionkov. Wydawnictwo Znak, Kraków 2019, s. 208.

Joanna Zętar, *Lublin którego nie ma /a Lublin that no langer exists.* Tłumaczenie: Tadeusz Wejchert. Projekt okładki: Wojciech Miatkowski. Księży Młyn Dom Wydawniczy Michał Koliński, Łódź 2018, s. 144.

Piotr Zychowicz, *Wołyń zdradzony czyli dowództwo AK porzuciło Polaków na pastwę UPA*. Redaktor: Grzegorz Dziamski. Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik. Fotografia na okładce: Alamy/BE&W. Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o., Poznań 2019, s. 456.

Krawędź rozwoju

Istnieją poeci, którym od początku towarzyszy jeden temat, dominujący temat. U **Wojciecha Ossolińskiego** (1949) jest nim kobieta, jej charakter, także relacje między nią a mężczyzną. Temat ten wciąż powraca do autora, często jednak w formie zmodyfikowanej i dyskusyjnej. Przenika, choć nie bezpośrednio, do niektórych tytułów książek. Jeden z jego zbiorów nosi tytuł „Podręcznik konserwacji wzruszeń", inny „Tulę się do słów"; a almanachowi poetyckiemu, który redagował, wcisnął nazwę „Przechowalnia uczuć".

Co charakterystyczne, właśnie wspomniany almanach, wyraziście ukazuje kierunek twórczości Ossolińskiego. „Przechowalnia uczuć" zawiera bowiem wiersze sześciu poetek i jednego poety – oczywiście ich redaktora. Czy dla prowokacji zdjęcia wszystkich autorek są na okładce zbioru, a fotografia Ossolińskiego umiejscowiona jest tak, jakby królował reszcie? Zamierzona niedorzeczność?

„Przechowalnia uczuć" ukazała się w 2006 roku. Rok wcześniej Ossoliński wydał zbiór wierszy „Na krawędzi przyzwolenia". Książka ta zawiera trzy małe przedsłowia, które napisały kobiety. Pierwiastek kobiecy dominuje we wszystkich zamieszczonych utworach.

Nie tylko temat kobiety, ale i pozostałe Ossoliński przedstawia swoim charakterystycznym sposobem – często z uśmiechem, drwiną i ironią. Wynika to z jego nieposkromionej natury. Autor tomiku „No właśnie!", który jest jego debiutem z 2000 roku, potrafi śmiać się nie tylko z innych, ale także z siebie, co jest bez wątpienia przejawem zdrowia psychicznego.

Twórczość poetycka Ossolińskiego ma, w gruncie rzeczy, dwie fazy, które w znacznym stopniu pokrywają się z typograficzną powierzchownością jego książek. Debiut „No właśnie!" oraz kolejne cztery zbiory mają prowizoryczny wygląd, charakter samizdatowy odpowiadający jego treści (lub korespondujący z jego treścią). Przeważa w nich najbardziej niepohamowanie, czasem nieprzyzwoitość, ironia i recesja. Przyłączają się do tego ilustratorzy tych publikacji, przeważnie karykaturzyści. Zaczynając od zbioru „Na krawędzi przyzwolenia" książki autora dostają jakby bardziej poważną szatę, a solidniejszego i bardziej prawdziwego charakteru jego wiersze. Recesja zdecydowanie ustępuje, ale pierwiastek ironiczny zostaje. Do zmiany dochodzi także w strukturze tekstów. Krawędź przyzwolenia przemienia się w krawędź rozwoju.

Wojciech Ossoliński jest człowiekiem zdecydowanie krytycznym, z niesamowitą dokładnością wyraża się o twórczości swych przyjaciół i znajomych. Od czasu do czasu ze swoimi uwagami krytycznymi pojawia się w gazetach, co wielu ludzi z jego okolic irytuje (w związku z tym przypomniałbym jego recenzję dwóch książek Anny Myszyńskiej w Tygodniku Prudnickim, 2011, nr 10).

Twórca zbiorku „No właśnie!" postrzegany jest jako osoba zdecydowana i wymagająca, bez mała autorytatywna, co jest jednak w dużej mierze tylko powłoką zewnętrzną. Za nią, tak uważam, kryje się coś zupełnie innego. W pełni to sobie uświadomiłem, kiedy odwiedziliśmy w szpitalu w Prudniku poetę i malarza Piotra Myszyńskiego. Ten człowiek chciał kiedyś zostać pierwszorzędnym mimem, lecz los przeznaczył mu miast kariery wózek inwalidzki. Byłem tą wizytą na tyle wstrząśnięty, że nie znajdowałem słów, Wojciech Ossoliński wprost przeciwnie. Znalazł w sobie słowa pociechy, zachęty, pocieszenia. Życiowe nieszczęście Piotra Myszyńskiego sprawiło, że zamienił on muzę taneczną na muzę poetycką. Szpitalnego zachowania Ossolińskiego nie odebrałem jako zamierzone aktorstwo tym bardziej, że drugą, naprawdę dobrą, książkę Piotra „Tańczę" przygotował do wydania i oprawił lakoniczną przedmową. Świat jest pełen paradoksów – Piotr Myszyński jest synem skrytykowanej Anny Myszyńskiej.

Wojciech Ossoliński

W zbiorze „Na krawędzi przyzwolenia" jest wiersz bliski stylowi popularnego poety, aktora i piosenkarza Jeremiego Przybory. W całym tym zbiorze, ani w poprzednich zbiorach Ossoliński nie przyznaje się do żadnego swojego poprzednika lub bliskiego zjawiska artystycznego. Przyznajmy, że w stosunku do twórczości Kabaretu Starszych Panów ma to jednak swe uzasadnienie. Jeremi Przybora, choć był znacznie starszy, w niejednej kwestii jest Ossolińskiemu bardzo bliski. Obaj są spod tego samego (różnica jednego dnia) znaku Strzelca. Przybora przyszedł na świat 12 a Ossoliński 13 grudnia. Łączy ich przede wszystkim łatwe spojrzenie na zawiłości tego świata.

Ossoliński ma jeszcze jedno pokrewieństwo, mówiąc dokładniej źródło inspiracji, którym jest Julian Tuwim ze swoimi „Kwiatami polskimi". Kiedykolwiek by nie otworzył owej książki z wierszami, zawsze zaskoczy go ona jakimś niesamowitym bodźcem. Ossoliński wiele nauczył się od Tuwima, niewątpliwie także od niego nabył umiejętności poetyckiego żonglowania słowem. Co więcej, wciąż jest z nim związany, a „Kwiaty polskie" są stałym wyposażeniem jego samochodu.

Wojciech Ossoliński mieszka w Prudniku, niedaleko czeskiej granicy. Jest to miasteczko, którego typ i wielkość odpowiada naturze poety. Myślę, że on to miasto przerasta swoim, częściowo niekontrolowanym, temperamentem rozbiegającym się w różne kierunki. Gospodarzy w mieszkaniu w kształcie trójkąta, w pomieszczeniach, które skupiają się na końcowej krawędzi. Dlatego – na krawędzi przyzwolenia.

Natomiast prawdziwie żyje na niewielkim terytorium w Moszczance w Górach Opawskich. Granicą jednej strony tego obszaru jest szybko płynący Złoty Potok. Jego strumień ma coś wspólnego z rozwojem mieszkańców tej posiadłości. Ale nie tylko z nimi, także z odwiedzającymi, którzy prowadzą tutaj niekończące się dysputy, najczęściej o sztuce. Wymieniają swoje poglądy – na krawędzi rozwoju.

František Všetička

Przekład: Dorota Patyniak

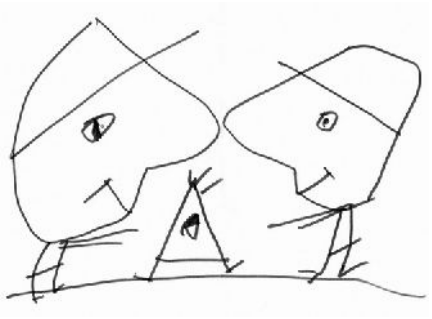

Rys. Jan Stępień

Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97–425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e–mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębkowski**.
Współpraca: Józef Baran, Małgorzata Dębkowska, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.
Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.
Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadamiania autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF", 98–113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677–41–56.